Nr. 26. Lwów, Niedziela dnia 25. Czerwca 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXV.

Związek stowarzyszeń.

Dnia 10 i 11 b. m. odbyło się we Lwowie walne zebranie Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Instytucja to w szerszych kołach mało znana, bez wielkiego pracująca rozgłosu, a jednak nadzwyczaj pożyteczna, która jeżeli tylko nie zatrzyma się na jednym punkcie, lecz w ręku energicznych i gorliwych ludzi rozwijać się będzie, przynieść może krajowi niezmierne korzyści.

Lat blisko już dziesięć trwa u nas w kraju agitacja w kierunku tworzenia stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, których celem przez skupienie drobnych kapitalików i ściągnięcie do nich kapitałów większych za pomocą solidarnej gwarancji — wyzwalać stowarzyszonych od wszelkiego wyzyskiwania, a szczególniej od lichwy. Nie od razu ta agitacja przyniosła pożądane skutki. Liczne w tym kierunku broszury, liczne po dziennikach artykuły, rzucały wprawdzie w umysły dobre ziarno, wykazując w jaki sposób można solidarnością pokonać ekonomiczne przeciwności — ale nie zdołały zdziałać tego, co dopiero przykład mógł zdziałać. Tak więc dopiero gdy powstało pierwsze większe towarzystwo zaliczkowe w Krakowie, po niem wkrótce drugie we Lwowie, kiedy oba nad podziw pomyślnie się rozwijały, za dobrym tym przykładem poszły inne miasta prowincjonalne, poczęły powstawać coraz nowe stowarzyszenia tego rodzaju, a obecnie liczba ich zbliża się już do setki.

Wkrótce też po rozpoczęciu szybszego na tem polu ruchu, uczuto potrzebę stworzenia centralnego organu dla niego, w którymby się interesa tych stowarzyszeń skupiały, i znalazły reprezentanta i obrońcę na zewnątrz. Organem tym jest Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, z wydziałem i patronem na czele. Zadaniem jego jest, starać się o rozpowszechnienie stowarzyszeń, być pomocnym wszędzie gdziekolwiek znajdą się chętni ludzie do tworzenia takich instytucyj, udzielać istniejącym już stowarzyszeniom rady i pomocy moralnej, dawać im wskazówki dotyczące wewnętrznej organizacji tudzież stosunków na zewnątrz np. z władzami i większemi instytucjami kredytowemi, bronić ich interesów, wydawać czasopismo i inne publikacje sprawy tej dotyczące, itp. Już z tego pobieżnego wyliczenia spraw któremi Związek ma się zajmować, przekonać się można, jak wielce pożyteczną może być jego działalność, i jak przy dobrej organizacji i sprężystem działaniu Związek może z czasem pokryć kraj cały siecią instytucyj, które pracować będą nad wyzwoleniem uczciwej pracy ze strasznego jarzma lichwy.

Zawiązany w r. 1874 Związek słabo i nieśmiało stawiał pierwsze swe kroki. Brak funduszów na opłacenie płatnego stałego urzędnika, dalej w pierwszych początkach brak takiej gruntownej znajomości przedmiotu, jaką stojącym na czele tej instytucji tylko dłuższa praktyka dać mogła — wreszcie błąd popełniony przez pierwsze walne zebranie, iż do wydziału powołano w połowie członków nie zamieszkałych we Lwowie, którzy przeto nie mogli w pracach należytego brać udziału, to wszystko spowodowało, iż Związek, jakkolwiek wiele już zrobił dobrego, jednak nie rozwinął się w tym czasie tak, jak się tego spodziewano.

Tegoroczne walne zebranie jednak przekonało nas, że instytucja ta ma w sobie wiele żywotnych sił, i że może się bardzo dobrze rozwinąć. Przedewszystkiem uczyniono znaczny krok naprzód w kierunku wewnętrznej organizacji. Nie wielką zmianą statutu zapewniono Wydziałowi Związku siły do pracy, wprowadzając zastępcę patrona tudzież zastępców członków wydziału, na wypadek jakiegokolwiek w składzie jego ubytku. Zerwano z tą śmieszną kurtoazją wobec prowincji, która wielce zaszkodziła Związkowi przez wybór zamiejscowych, nie mogących mimo najlepszej chęci skutecznie pracować. Polecono Wydziałowi, by przyjął stałego, płatnego urzędnika, bez którego instytucja taka istnieć nie może. Wreszcie — zrzuciwszy pychę z serca — uznano, iż w sprawie funduszów Związku trzeba odwołać się do interesu i obowiązku kraju całego i prosić o subwencję z funduszu krajowego. Stowarzyszenia do Związku należące, między któremi jest wiele zaledwie od roku powstałych, nie mogą jeszcze o własnych siłach utrzymać takiej instytucji, a jeżeli się zważy, iż najważniejszy jej cel, t. j. agitacja w kierunku tworzenia nowych stowarzyszeń, nie jest bezpośrednim interesem już istniejących stowarzyszeń, lecz kraju całego — to apelacja do funduszu krajowego okaże się tu zupełnie usprawiedliwioną.

Obok tych uchwał, dotyczących wewnętrznej organizacji Związku, powzięto liczne jeszcze uchwały, odnoszące się już do spraw Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w ogóle. Nie tu miejsce wyliczać je szczegółowo. Podniesiemy z nich dwie, według nas najważniejsze. Jedną z nich jest sprawa domów zastawniczych. Wiadomo, jak w naszym kraju rozpowszechnioną jest forma brania kredytu na zastaw. Od włościanina, który zastawia kożuch, buty, korale — czasem za wódkę, częściej może za grosz na opłacenie pogrzebu lub złożenie podatku — od rzemieślnika, który zastawia czasem nawet materjał surowy jeszcze w tej chwili do pracy nie potrzebny — do urzędnika, który zastawia kilka po ojcu odziedziczonych lub przez żonę w dom wniesionych srebrnych łyżeczek — do wielkiej damy wreszcie, która żeby miała czem drogą suknię balową zapłacić, zastawia klejnoty familijne: wszystko u nas korzysta z tej tak prostej formy kredytu. Jakie kwoty w ten sposób bywają u nas w roku przez tysiące najrozmaitszych kapitalistów rozpożyczane — to się z pod wszelkiego obliczenia usuwa; to pewna jednak, że na tem polu kredytu dzieją się największe nadużycia, grasuje najstraszniejsze wyzyskiwanie szczególniej ludu wiejskiego i mniej zamożnych warstw miejskich. Nie tylko bowiem szalone opłaca się procenta, ale bardzo często i przedmiot zastawiony bezpowrotnie przepada lub wraca do właściciela zniszczony. Zjazd Związku pragnąc i na tem polu stawić czoło wyzyskiwaniu, polecił Wydziałowi szczegółowe, gruntowne zbadanie, o ile Towarzystwa zaliczkowe i w jaki sposób mogłyby tworzyć u siebie działy zastawnicze,

a zarazem polecił wypracowanie wszelkich potrzebnych do tego instrukcyj.

Drugą uchwałą wielkiej doniosłości jest polecenie Wydziałowi, ażeby się zajął utworzeniem centralnej instytucji kredytowej dla Towarzystw zaliczkowych. Mimo solidarnej poręki, dotychczas jeszcze Towarzystwa te, szczególniej mniejsze, walczą z brakiem kredytu, z brakiem przeto kapitału. Instytucja, która w pierwszym rzędzie byłaby powołaną do zaspokojenia tej potrzeby — bank narodowy — wiadomo jak po macoszemu z krajem się naszym obchodzi. Towarzystwa zaliczkowe też mają w banku kredyt nadzwyczaj utrudniony. Kasa oszczędności we Lwowie, bardzo niewystarczającą sumę, bo tylko 200.000 zł. na ten cel przeznaczyła. Towarzystwa przeto muszą same pomyśleć o sobie Stworzenie centralnej instytucji kredytowej, którąby Towarzystwom zaliczkowym kredytu udzielała, dopiero zdoła całą sprawę osobistego kredytu i sprawę łamania lichwy pchnąć na tory prawdziwie do celu wiodące.

Gdyby zebranie Związku prócz wewnętrznej organizacji i tych dwóch powyżej wymienionych uchwał nic więcej nie było uchwaliło — jużby i temi uchwałami zasłużyło na szczere uznanie. Rzeczą Wydziału będzie wykonać jak najlepiej dane mu zlecenia — a nazwiska członków jego są nam rękojmią, że nie zaniedba niczego.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XII.

Pan Bartłomiej już był także gotów do wyjścia i chciał się żegnać, lecz nagle inna przyszła mu myśl do głowy.

— Czy tak czy siak, panie bratku, kiedy pan hrabia, a mój niegdyś podkomendny jest taki łaskaw to trzeba kuć żelazo póki gorące.

Kapucyn i pan Artur spojrzeli na pana Bartłomieja z pewnem zdziwieniem. Były kamerjunkier skrzywił się przytem trochę jakby przeczuwał, że ta druga część rozmowy nie pójdzie tak gładko jak pierwsza, ale nie okazał pomięszania, lecz wskazując gościom swoim krzesła, które poprzednio zajmowali, rzekł bardzo grzecznie:

— Słucham pana!

— Pan rotmistrz Gradowski — zaczął Zahajpolski — ma właśnie zamiar upoważnić mnie, żebym z panem hrabią w tym przedmiocie traktował, a zatem pozwoli pan hrabia, że nim przyjdę z pełnomocnictwem, wprzód prywatnie rozmówię się z panem w tym przedmiocie.

— Bardzo chętnie.

— Przyznajesz pan hrabia, że sprzedaż Zaskala była tylko fikcyjną.

— To jest przyznaję, że sprzedaż tej wioski nastąpiła w warunkach, które wyjawiać w jakiejkolwiek porze i w jakiembądź miejscu nie byłoby bardzo ostrożnem.

— To prawda — przyznał Zahajpolski — na majątek rotmistrza rząd moskiewski nałożył sekwestr, więc gdyby się wydało. Zaskale uległoby konfiskacie, ale tutaj jesteśmy sami, można mówić o tem śmiało.

— Niech i tak będzie!

— Otóż rotmistrz — prawił dalej pan Bartłomiej — znajduje się obecnie w tem położeniu, że radby tę sprzedaż fikcyjną zmienić na rzeczywistą.

— To jest?... — zapytał pan Artur, zapewne z głębokiej dyplomacji nie chcąc rozumieć o co chodzi.

— To jest, chciałby, żebyście panowie oszacowali Zaskale, nałożyli cenę jaka wam się wyda słuszną, oznaczyli termina spłaty jakie dla was będą najdogodniejsze, i...

— I?... — powtórzył ex-kamerjunkier.

— I? i? — zapalił się Zahajpolski — jakież tu jeszcze może być „i"?... I zapłacili, czy siak czy tak, panie bratku!...

— Mocno żałuję, panie Zahajpolski — odpowiedział zwolna cedząc wyraz po wyrazie i siląc się widocznie na angielską flegmę pan Artur — mocno żałuję, ale to jest kombinacja jak najzupełniej niemożebna.

Zahajpolski zerwał się z krzesła ale pod spojrzeniem ojca Fulgencjusza usiadł natychmiast.

— Dlaczegoż to, panie hrabio? — spytał kapucyn.

— Dla wielu, bardzo wielu przyczyn, księże dobrodzieju, — odparł pan Artur, starając się teraz odpowiedzi swojej nadać ton lekki — najprzód dla tych trzech, bez których według Napoleona niepodobna prowadzić wojny... ciężkie czasy... brak nam pieniędzy pieniędzy i pieniędzy.

— Moglibyście panowie odprzedać Zaskale...

— To prawda, ale w takim razie majętnośc ta wyszłaby z rodziny naszej,. Księdzu dobrodziejowi wiadomo, że Gradowscy i Szóstaccy to jedna rodzina, czy w naszych rękach, czy w rękach rotmistrza, zawsze to pozostanie w familji... Przytem mój ojciec oddawna pragnął majętności swoje zaokrąglić Zaskalem...

— Właśnie ma do tego najlepszą sposobność — perswadował dalej ojciec Fulgencjusz — a co do wypłaty. skoro rotmistrz zgadza się na takie termina, jakie panowie naznaczycie...

— Może to być — przerwał pan Artur — że co do gotówki dałoby się jeszcze jakoś poradzić, ale zachodzi inna okoliczność...

— Naprzykład? — zapytał zaciskając zęby pan Bartłomiej, którego już gorączka opanowywała.

— Naprzykład taka... my płacimy... rotmistrz bierze pieniądze i naturalnie ma je... rząd rossyjski ma dobre oczy, widzi że ma pieniądze, których dotąd nie miał.. więc po nitce do kłębka zkąd je wziął, naturalnie nie zkąd inad tylko od nas, więc śledztwo, dochodzenia, wyrok, że sprzedaż była tylko pozorna, żeśmy rzeczywiście kupili dopiero po nałożeniu sekwestru kiedy już kupować nie było wolno, konfiskują nam Zaskale, i nie mamy ani Zaskala, ani pieniędzy...

— To sądzisz pan, że w takim razie rotmistrz nie sprzedałby ostatniej koszuli, żeby oddać co się panom należy?... — podniesionym głosem zawołał Zahajpolski.

— Uspokój się pan — odrzekł z flegmą pan Artur — nie powiedziałem tego wcale, ale ten kochany rotmistrz nie jest wieczny, ma ośmdziesiąt lat...

— To może pan mniemasz że sukcesorowie jego byliby tacy podli...

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem... niech się pan nie unosi... ani sukcesorom nic nie zarzucam.. ale nim do tego przyjdzie mogą stracić wszystko lub znaczną część i mieliżbyśmy serce obdzierać biednych emigrantów z ostatka?... widzisz kochany panie Bartłomieju, że mimo najszczerszej chęci niepodobna... niepodobna...

— Niepodobna! — zerwał się Zahajpolski — ależ panie Szóstacki, uważaj pan, że to jest tylko przypuszczenie, że za to ryzyko o którem mówisz, oddaje się wam majętność za bezcen, za połowę, za trzecią, za czwartą część wartości, za tyle ile chcecie zapłacić...

— Nie grywamy w gry hazardowe i nie chcemy kupować niżej wartości, korzystając z czyjegoś przykrego położenia — odparł pan Artur — zapłacimy całą wartość Zaskala i zapłacimy lepiej jak ktokolwiek, jak tylko pan rotmistrz Gradowski będzie w możności przystąpić do aktu sprzedaży w drodze legalnej i jawnej...

— A tymczasem?...

— Tymczasem?... jakież tu jeszcze może być tymczasem? — wzruszył ramionami ex-kamerjunkier — tymczasem musi zostać tak jak jest!

— Czy to ostatnie pana słowo?

— Ostatnie.

Zahajpolski nie był już panem siebie.

— No to ja teraz powiem panu — wybuchnął — że to ostatnie słowo jest nikczemne i podłe, że chcesz pan skraść Zaskale, tak jak skradłeś ten tytuł, któryś sobie na drzwiach wypisał!...

— Zapominasz pan, że jesteś w moim domu! — nasrożył się pan Artur.

— Jeżeli pan chcesz, żebym to panu w moim powtórzył, to przyjdź do mnie.

— Całe szczęście pańskie — odrzekł z zimną krwią dziedzic imienia Szóstackich — że nie mam zwyczaju przywiązywać wagi do słów szaleńców.

— Jak się panu dodoba! — zawołał pan Bartłomiej i otworzywszy drzwi tak szybko, że Fritz Hahn nie miał jeszcze czasu zmienić pozycji, potrącił go i wyszedł do przedpokoju.

Za nim wyszedł zwolna ojciec Fulgencjusz.

Pan Bartłomiej szedł szybko i wrzał. Poczciwy kapucyn nie oswojony jeszcze z noszeniem cywilnej odzieży, zaledwie mógł za nim wydążyć.

— A poganin! infamis! bezbożnik!... Gdyby mnie wasza ojcze obecność nie mitygowała... jakem Zahajpolski sponiewierałbym go i poszarpał... Ale czy tak czy siak panie bratku, co się odwlecze to nie uciecze... jeszcze się między nami nie skończyło!...

— Zawsze gorączka z waści, zawsze gorączka — uspokajał go zadyszany trochę ojciec Fulgencjusz — ot i teraz spieszycie

tak, jakby kto gonił, albo jakbym ja miał zdrowe nogi, i był do tych opiętych kurtek i szarawarów przywykły!...

Pan Bartłomiej zwolnił trochę kroku i przycichł.

— Gdybyś się był jegomość zastanowił, panie Zahajpolski — mówił dalej ksiądz — tobyś był tej awantury nie robił...

W szaraczkowcu na nowo krew zawrzała.

— Gdybym się był zastanowił!... ależ to całe szczęście, żem się nie zastanowił, bo teraz gdy się zastanawiam, to zaczynam żałować, żem mu kości nie pogruchotał.

— A przecież—rzekł zwolna kapłan— zastanowiwszy się, w tem co on gadał jest jakaś racja i gdyby taka sprawa pod sąd jaki przyjść miała, to kto tam wie czyby nie wygrał...

— To też mnie właśnie do wściekłości doprowadza, że sobie powymyślał takie zręczne wykręty... — odpowiedział pan Bartłomiej. — Oszaleć człowiekowi przyjdzie na starość, rozum stracić, zwarjować! Cudza własność, święta rzecz, a ten bierze własność cudzą i powiada nie oddam ani nic za nią nie dam, i takie przywodzi argumenta, że człowiek języka w gębie zapomina. Czy siak czy tak panie bratku, zawsze przecież krętacz z niego i łotr! Mimo wszystkiego co tam gada, gdyby chciał psa uderzyć, toby kij znalazł, gdyby chciał zapłacić, toby znalazł sposób do zapłacenia, słusznie go więc nazwałem nikczemnikiem i podlcem.

— Tego nie przeczę, ale też tyle naszej satysfakcji, więcej z nim pewno nie wskóramy...

Pan Bartłomiej westchnął, dalszą drogę odbywali milcząc i smutnie.

Przeszli prawie przez całe miasto i wydostali się za jego obręb, zmierzając ku Grossgartenowi.

We wspaniałym tym ogrodzie znajduje się jak wiadomo sześć jednakowej wielkości i według jednego planu zbudowanych domków w dość znacznej jeden od drugiego odległości. Domki te mają swoją historję. Według opowiadań mieszkańców Drezna miał je zbudować August Mocny dla swych kochanek, gdy ich miewał po kilka naraz. Ogrodzenia i sztachety zabezpieczać je miały od zbyt dotykalnych objawów zazdrości, co na spokojny charakter Niemek było jak się zdaje dostateczne, historja jednak nie powiada czy wybrankom króla Sasa należącym do innej narodowości wystarczało takie odosobnienie od rywalek.

Obecnie w domkach takich zamieszkują ci, którzy z miasta daleko wyjeżdżać nie mogą, a pragną odosobnienia i spokoju. Każdy przybytek byłej metresy królewskiej stał się własnością jakiegoś spokojnego bürgera, który obok własnego lokalu urządza tam jeszcze kilka niewielkich mieszkań dla cudzoziemców.

W jednem z takich mieszkań mieszkał Stanisław z żoną, dzieckiem i rotmistrzem. Tam właśnie weszli ojciec Fulgencjusz z p. Bartłomiejem Zahajpolskim.

XIII.

Odepchnięty przez p. Bartłomieja od klamki przy której zajmował dosyć dwuznaczne stanowisko, Fritz Hahn nie interwenjował zupełnie, to jest, nie spełnił żadnej funkcji lokajskiej przy odejściu gości, którzy opuszczali progi jego tytułowanego chlebodawcy. Pan Bartłomiej i ks. Fulgencjusz wyszli od hrabiego Artura zupełnie tak jak, się wychodzi od zwyczajnego człowieka, który nie ma służby w liberji.

Po ich odejściu w mieszkaniu pana Artura odbywały się dwa namysły.

W przedpokoju, stojąc na środku, namyślał się Hahn Fritz, w salonie, rzuciwszy się na szezląg namyślał się hrabia Artur.

Przedmioty ich namysłu, nie były jak się zdaje równie dla nich obu przyjemne. Fritz Hahn namyślając się uśmiechał się i ręce zacierał, hrabia Artur był zły i blady, wargi sobie prawie do krwi przygryzał.

Łatwo mu widać było powiedzieć, że nie przywiązuje wagi do słów szaleńca, ale trudniej przenieść te słowa.

— Kanalja! sankiulota!... — powtarzał od czasu do czasu, ze szczególnym naciskiem — zuchwalec!... i coby to było gdyby tacy zwyciężyli!... socjalizm! komunizm! zagłada wszystkich pojęć prawnych! wytępienie wszystkiego co święte!...

Przyszło mu nagle coś na myśl i podniósł rękę do dzwonka, ale nim zadzwonił służącemu także coś na myśl przyjść musiało, bo otworzył drzwi i ukazał się na progu.

— Czy pan hrabia nie ma co do rozkazania — rzekł po niemiecku — i czy pan hrabia nie pozwoli mi wyjść?...

— Do rozkazania nic nie mam... idź.,. tylko pamiętaj, że jak ci dwaj jeszcze raz przyjdą, masz ich nie wpuszczać.

— Powiedzieć, że pana hrabiego nie ma w domu?...

— Nie... powiedzieć wyraźnie, że nie przyjmuję.

— A jakby się upierali?...

— W takim razie idź po policję.

Fritz Hahn przez chwilę patrzył na pana Artura jakby się spodziewał dalszych jeszcze rozkazów, pan Artur patrzył na niego jakby czekał czy mu czegoś jeszcze nie powie.

Rzeczywiście oczekiwanie pana Artura nie było bezskuteczne.

— Panie hrabio, — zaczął po chwili wahając się jeszcze czy ma powiedzieć to co myśli.

— Cóż?...

— Możeby lepiej było...

— Czegoż urywasz... mów... co byłoby lepiej?

— Iść tam zaraz...

— Gdzie?...

— A na policję, panie hrabio.

— To już do mnie nie należy, zrób jak ci dogodniej, abym ich tylko więcej tu u siebie nie widział.

— Dobrze, panie hrabio, gdybym tylko mógł wiedzieć, jak się nazywa ten który panu hrabiemu nawy...

— Który co?... — podchwycił pan Artur.

Fritz Hahn zmienił naprędce zamierzoną pierwotnie stylizację swych słów.

— Ten który się ośmielił głos podnosić w obecności pana hrabiego.

— Ten zawadjaka... to Bartłomiej Zahajpolski.

— Zapiszę sobie.

Poszukał książeczki notatkowej i zapisał sobie imię i nazwisko pana Bartłomieja, jak na rodowitego Niemca dosyć poprawnie.

— A ten drugi... — zaczął pan Artur.

— To zbyteczne, panie hrabio.

— Jakto? poznałeś go?...

— To jest... panie hrabio — zająkał się Fritz Hahn — ja myślę, że ten drugi sprawiał się cicho...

— To wszystko jedno... i tego drugiego widzieć nie chcę... oto mi tylko idzie, o nic więcej.

— Stanie się według woli pana hrabiego.

Ukłonił się Fritz Hahn i wyszedł. Że droga jego prowadziła *hinter die Frauen-Kirche*, zbytecznem byłoby dodawać.

Jaką tam konferencję miał z komisarzem emigrantów, tego powtórzyć nie możemy. Pan komisarz czuwający nad cudzoziemcami był człowiekiem dyskretnym i nigdyby się z tem przed nikim nie był wygadał, a Fritz Hahn także przed nikim, nawet przed swoim panem, nie zdawał sprawy jak się wywiązał z tego poruczenia.

— Trzeba być ostrożnym — myślał pan Artur po odejściu wiernego sługi, — tym szaleńcom nie wywietrzały jeszcze z głowy czasy swawoli, tajnych wyroków i sztyletów. Taki zawadjaka mógłby się targnąć na mnie na ulicy gdyby mnie spotkał... mógłby podburzyć całą czeredę emigracyjną tutaj bawiącą przeciwko mnie... mógłby... albo ja wiem coby mógł jeszcze?... Po człowieku który przychodzi do kogoś zajmującego wyższe stanowisko i poważa się głos podnosić, a w wyrazach nie przebiera, wszystkiego obawiać się można...

Ta refleksja zapewne była powodem, że i tego i następnego dnia żadne oko śmiertelne nie widziało pana Artura na ulicach królewskiego stołecznego miasta Drezna.

Częściej za to widywać można było jego kamerdynera, który jednak od czasu wizyty pana Bartłomieja i kapucyna przyjął trochę odmienną od dawniejszej taktykę, i udając się za ów kościoł na Neumarkcie, w okolicę którego tak często prowadziła jego droga, więcej się oglądał i bardziej czapkę na oczy nasuwał. I na odleglejszych nawet od tego gmachu ulicach zdarzało się niekiedy, że gdy zobaczył naprzeciw siebie jakiegos przechodnia, zwracał się nagle napowrót, albo też przypominał sobie, że ma pilny interes na przeciwną stronę ulicy.

Mimo to, że unikał widocznie niektórych osób, drogi jego dziwnem jakiemś nieszczęściem tam najczęściej prowadziły, gdzie właśnie te osoby mógł spotykać.

(C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Role główniejszych postaci występujących w tym utworze — a jest ich razem przeszło trzy-

*

dzieści — mieliśmy sposobność poznać z przebiegu opisanego działania. Zalety i wady poszczególnych charakterów, przedewszystkiem zaś samego Popiela, łatwo wpadają w oczy. Dla uzupełnienia dodać jeszcze musimy, że jeżeli przedstawiciel idei monarchicznej w pierwszej połowie dramatu występuje jako bohatyr pełen prawdziwej energji, i z żelazną konsekwencją dąży do urzeczywistnienia swoich planów, to przeciwnie Piast w całym ciągu swej roli wydaje się typem więcej biernym, niż czynnym. Jako taki może on odpowiadać zupełnie pojęciom naszym o ludzie, cierpliwym choć wytrwałym w swych postanowieniach i mniej skłonnym do heroicznych czynów — ale cierpliwa bierność tej postaci w utworze, o którym mówimy, nie może żadną miarą liczyć się do zalet. Sympatycznie skreśleni są: Żóraw, Rzepicha, Kalina, Ziemowit, a także i stryj Władysław chociaż tylko kilkoma rysami, lecz typy te są więcej liryczne niż dramatyczne. Bożenna reprezentuje wybornie kobietę przywiązaną nadewszystko do tradycyj ojczystych. Św. Metody jest wyobrazicielem ewangelicznego krzewiciela Chrystusowej wiary i w stosunku do kapelana królowej Fuchsa, tudzież do posłów niemieckich Hartena i Giesego, w swym prawdziwie apostolskim charakterze bardzo korzystnie się uwydatnia; z tem wszystkiem przecież w architektonice dramatu nie należy on do czynników, ogólny prąd działania naprzód posuwających i dla tego o nim tylko ubocznie napomknęliśmy.

Jakkolwiek tedy w *Popielu i Piaście* nie podobna przeoczyć braków i usterków organicznych, mimo tego jednak jest to kreacja, zajmująca w dramaturgji naszej miejsce wcale zaszczytne. Z mnogich trudności, zawartych już w samym przedmiocie na pół legendowym a na poły historycznym, wyszedł Romanowski w całości dość zwycięsko i okazał talent, zdolny na tem trudnem polu stwarzać nawet arcydzieła. Kto wie, czy nie byłoby do tego przyszło istotnie i w krótkim czasie, bo poeta w obranym teraz zawodzie dalej postępować zamierzył. Na tle tej samej epoki zarysował się obok *Popiela i Piasta* nowy dramat: *Popiel Drugi*, a równocześnie urastać poczęła budowa *Marty posadnicy Nowogrodzkiej* i *Stańczykowych swatów*.

Okoliczności, o których zaraz powiemy, nie dozwoliły wszelako żadnemu z tych utworów doczekać się wykończenia. Po tragedji, którą rozpatrzyliśmy, a która jako jubileuszowa na wielką tysiącletnią uroczystość narodu ukazała się w *Dzienniku literackim* i w osobnej edycji w r. 1862, spotykamy we wspomnianem czasopiśmie z *Popiela Drugiego* tylko jedną scenę (siódmą z aktu drugiego), a o dwóch innych utworach wiemy tylko z podania, że były rozpoczęte. Ile z tego wszystkiego jeszcze pozostało, okaże się może w przyszłości.

Okrom poetycznego zawodu pracował Romanowski także na innych polach literackich. Małej wartości są jego powieściowe roboty: *Projekta* (Lwów 1860) i *Wczoraj* szkic drukowany w *Dzienniku literackim* z r. 1861. W tym kierunku nie byłby widocznie doprowadził do żadnych celniejszych rezultatów. Natomiast rzecz *O legjonach polskich* (umieszczona w *Dzien. liter.* z r. 1861) stanowi wykończone w sobie studjum historyczne oparte na sumiennych poszukiwaniach, a skreślone w obrazie rozległym nader wdzięcznie i udatnie. Toż samo powiedzieć można i o drugiej monografji tego rodzaju i z tejże epoki dziejowej pt. *Jakób Jasiński*. Zakreślona tak jak tamta na większą skalę i rozpoczęta pracowicie, doznała porówno z ostatniemi utworami dramatycznemi z powodów od autora niezależnych nieuniknionej przerwy. Część pierwsza znajduje się w *Dzienniku literackim* z r. 1863.

Dla uzupełnienia niniejszego poglądu na literacką działalność naszego poety dodać jeszcze należy, iż wraz z innymi młodymi pisarzami naszej prowincji zasilał płodami pióra swego *Dzwonek*, pismo ludowe bardzo cenne i wielkiego w owych czasach wpływu na oświatę tej warstwy społecznej, dla której było przeznaczone. Występował tutaj pod pseudonymem J a ś k a Ż u c z k a.

* * *

Pozostaje nam już nie wiele słów na zamknięcie niniejszej monografji: kilka rysów z ostatnich chwil życia Mieczysława Romanowskiego i kilka dźwięków jego lutni, serdecznych, głębokich i rzewnych, a jednak silnych i męskich, padających jasnym błyskiem na tę szlachetną, podniosłą i pod każdym względem wyjątkową postać.

W obec tego wszystkiego, cośmy rozpoznali, jakiż mógł być doczesny koniec duchowego szermierza za najwznioślejszą sprawę narodu?...

Wyższym, wybranym istotom daje czasem Opatrzność dar osobliwy przeczuwania, a niekiedy nawet przewidywania przyszłych losów. Nie bywa to w regule wynikiem samego jedynie kombinacyjnego spostrzegania, ale objawia się pod pewnemi względami jako owoc niewytłumaczonej, rzec by można nadprzyrodzonej intuicji. Były w świecie duchy geniusze odgadujące przyszłość całego świata, były inne które patrzyły w nastąpić mające losy swego narodu, inne znowu czytały prawie wyraźnie we własnej przyszłości.

Romanowski okazuje się widocznie jednym z takich wyższych duchów. Dzieckiem marzył już o pięknej śmierci — na pobojowisku. Później w młodzieńczych snach swoich widział nieraz przyszłe boje, choć rzeczywiście w narodzie wtedy jeszcze na nic stanowczego się nie zanosiło. Świadczy o tem jedna z najpiękniejszych fantazyj, a jednak nie fantazja tylko: *Nowa znajomość*, skreślona w r. 1858 niezaprzeczenie pod wpływem owego wyjątkowego usposobienia, o którem wspominamy. Było to w jasny wieczór letni, po zachodzie słońca. Poeta patrzał natchniony „w Karpat aureolę“ i całem sercem chłonął tę majestatyczną ciszę, która się rozlewała w przyrodzie. Białe lilje nad strumieniami zdawały się brać czyste wonie z jego marzeń, a fale wody powtarzać jego pieśni. Kraina niebios świeciła gwiazd miljonem. W tej uroczystej chwili przyszło szczególniejsze widzenie jako zjawisko wyobraźni:

I zbliżyła się do mnie dziewica
W czystej bieli z zadumanym wzrokiem,
Jak posągi greckie miała lica,
Szła powolnie w myśleniu głębokiem —
Szła i postać nachyliwszy wiotką:
„Jam śmierć twoja!“ — rzekła do mnie słodko.
„Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę;
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę,
I ulecisz od bolów jak płomień
W światło, w życie wieczne—nowy promień!“

Była to jakby wyraźna zapowiedź pięknego zgonu... może już w niedalekiej przyszłości. I cóż na to poeta? O! on choć młody nie wzdrygał się przed śmiercią, owszem pragnął jej — ale wśród bitwy!

„Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze piękny cieniu biały,
I na polu bitwy o mnie spytaj —
Teraz nowa znajoma mi witaj!

Fantastyczne widziadło przeczucia znikało powoli, a marzący umysł wierny ślubom swoim żegnał je serdecznem: „Do widzenia!“

Na świadectwo rojeń o takim właśnie końcu żywota możnaby powołać niejedną jeszcze zwrotkę z lirycznych pieśni Romanowskiego. W wierszyku pt. *Zachcenia* (z r. 1859) czytamy między innemi:

I pragnę ujrzeć zmartwychwstające
Narody z anielską chwałą —
Albo pioruny takie palące,
By się aż niebo spękało!...

a dalej:

Ach! kiedyś — kiedyś wszystko się stanie
Piękniejszem, lecz mnie nie będzie....

Gdzieindziej znowu wyrywając się z objęć kraśniejszego życia, nawraca na drogę nieodwołalnych przeznaczeń:

Co tam marzyć o kochaniu,
O bogdance, o róż rwaniu —
Dla nas nie ma róż!
My — jak ptacy na wędrówce —
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już!...

Tymczasem zbliżyła się szybko stanowcza wypadków chwila. W przygotowaniach do wojennej akcji wziął Romanowski czynny i gorący udział. Nie tu miejsce rozpatrywać szczegółowo owe przygotowawcze roboty. Śród tych zajęć nie ustawał on jednak w pracy literackiej, choć czuł niemal świadomie, że mu zabraknąć może czasu do skończenia wielkiego zawodu.... W przededniu bojowych haseł (w r. 1862), jakby już widział swój zgon niedaleki, żegnał się na zawsze ze swoją pieśnią, bez łez, jak mężny rycerz któremu broń słowa przypadło zamienić na oręż ze stali....

Lećcie me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy....
— — — — — — — — — —
Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem,
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam!......
— — — — — — — — — —
Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia;
Ziemią niech piersi przysypią mi młode,
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch unosi...

Ostatnich dni stycznia r. 1863 postanowił przejść za kordon, do walczącej braci. Żegnając swoich, pisał do brata Emeryka: „Drogi Emeryku! W Koronie powstanie! Ruszamy w pochód. Przygotuj na to rodziców. Błogosław mi wraz z twą zacną, kochaną żoną i módlcie się

za mnie. Emeryku drogi! uściskaj odemnie twe dzieci, twą żonę, pożegnaj rodzinę całą, wszystkich a wszystkich naszych.... Idziemy pełnić naszą powinność... Czytając ten list, zrób krzyż Emeryku! a dobry anioł, gdziekolwiek będę, zaniesie ten krzyż na głowę twego brata".

Jeszcze serdeczniejsze, rzewniejsze wyrazy czytamy w liście do siostry: „Moja droga—najdroższa Józieńko! Godzina czasu na rozmowę z tobą! Godzina czasu, a serce takie pełne, że ledwie się nie rozpęknie, tak mu ciężko i smutno... Czemuż ja cię nie mogę uściskać i klęknąć przed Tobą, abyś mi pobłogosławiła na drogę walk i bojów... ...O! my się obaczymy! Bóg powróci mnie do was zdrowego! ale błagam was, nie płaczcie za mną i nie żałujcie mnie!... Józiu moja! Rodzice nasi — ja truchleję o nich... O! utulaj ich po mnie — utulaj i ratuj i pocieszaj ich. Ja wrócę! Józiu! utulaj rodziców, ale i siebie samą utulaj, bo i ty będziesz bardzo biedną bezemnie... W tej chwili odebrałem list twój i ojca! O! Bóg wam zapłać za to — anioł dobry zesłał mi to. Będę go nosić na piersiach, kędy się tylko obrócę... Teraz klęka przed tobą brat, a ty błogosław twego Mieczysława".

Usiłowania te nie osiągnęły wszelako w pierwszej chwili pożądanego skutku. Aresztowany w Artasowie 2 lutego, spędził następnych smutnych kilka tygodni w więzieniu. Długie godziny słodził sobie pracą nad *Stańczykowemi swaty*. Dnia 4 marca odzyskał wolność i pospieszył do Żukowa, aby ucałować stopy rodziców i przyjąć z ich rąk ostatnie błogosławieństwo. Rozrzewniające i wzniosłe było pożegnanie z matką. Dnia 7 marca udał się do oddziału Lelewela.

Zawód rycerski dozwoliła mu Opatrzność pełnić zaledwie parę tygodni. Poległ w bitwie pod Józefowem dnia 24 kwietnia r. 1863 około godziny czwartej po południu. Ofiarę krwi przyjęła ojczysta ziemia — potężny duch uleciał w niebios sfery....

„W głuchym borze — w cieniu drzew
Leży blady jego trup:
Tam wypełnił święty ślub,
Tam serdeczną przelał krew!"

* * *

Jesteśmy u końca rozprawy. Autor jej przedsięwziął sobie przedewszystkiem rozpatrzyć w należytem ugrupowaniu literackie prace jednego z ostatnich celniejszych przedstawicieli wielkiego słowa Narodu. Nie zrównał się ten pisarz wprawdzie z pierwszymi mistrzami wieszczej naszej poezji; lecz ile tylko wzniosłych pomysłów roiło się w tej pięknej wyobraźni, wszystkie znalazły w jego utworach swój szlachetny wyraz. Sprawiedliwy sąd krytyki mieścić będzie zawsze Romanowskiego między poetami wyższego polotu. Autor monografji czuje to dobrze, iż składa w niniejszej swej pracy tylko niezupełne rezultaty własnych poszukiwań i rozglądów. Rzeczą przyjaciół i bliższych znajomych nieodżałowanego piewcy będzie, sprostować i uzupełnić podane tutaj szczegóły i zapatrywania — a nadto postarać się o zupełną zbiorową edycję jego utworów. Dar taki przyjmie naród sympatycznie i z wdzięcznością.

KONIEC.

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

VII.

(*Wewnętrzne sprawy towiańszczyzny. — Co się dzieje z Towiańskim? — Prelekcje Mickiewicza. — Namiętność przeciwników. — Dlaczego Mickiewiczowi odjęto katedrę? — Michelet, Quinet, Mickiewicz. — Zabiegi względem Mickiewicza.*)

Doktryna już skompromitowana przez ks. ks. zmartwychwstańców, posiłkowanych przez rozliczne publikacje i korespondencje do pism perjodycznych, utrzymywała się przecież w gronie wielu ludzi genialnych, rozumnych i poczciwych, bo Mickiewicz jej nie opuszczał. Nimbus patrjotyczny, jakim się osłaniała i okoliczności uboczne, o których później będzie mowa, dodawały jej siły atrakcyjnej. Z podziwienia godną łatwowiernością zaciągali się wychodźcy pod sztandar Towiańskiego. Jeden z nich wpisał się do sekty, a zapytany dlaczego to uczynił, odpowiedział: „Jutro mają mi powiedzieć" *). Przypisywano Towiańskiemu czynienie cudów, wierzono mu najzupełniej, gdy ze szczegółami opowiadał rozmowy, jakie z nim święci polscy prowadzą, — gdy zapewniał, że bywają u niego duchy: Napoleona, Kościuszki, że z nimi rozmawia. Uczniowie jego oddawali mu cześć niemal boską, zbliżali się doń z najniższą pokorą, całowali ręce jego, a gdy przemawiał do łez się wzruszali. Przemawiano doń: Mistrzu i Panie, a nawet Mickiewicz tak go tytułował. Towiański używał względem nowych adeptów zwykle tej formuły zaklęcia: „Duchu poddaj się mojej nauce, mojemu słowu, bo wielkie męki czekają cię." Upewniał też każdego, że ci co mu się opierali, powarjowali, albo pomarli. Magnetyzował rękoma, wyprawiał sceny gwałtowne, a domagał się zawsze, aby mu do nóg upadano na znak poddania się nauce *).

Wpływ Towiańskiego na uczniów był jak widzimy niesłychanie wielkim; otaczał on się dziwnym wobec nich urokiem, a nie można tego ani rozbudzaniem w nich miłości własnej wytłumaczyć, ani żadnemi materjalnemi pobudkami. Musiała w nim być siła przekonania o słuszności swej sprawy. Dość rozpowszechnionem było mniemanie, że Towiański nim do kogo się uda, nim zawiąże jakie stosunki, nim z adeptem się rozmówi, wprzód bada jego przeszłość, jego pojęcia, jego dążność — i do nich się stosuje. Dlatego to przepowiednie Towiańskiego, zapowiedzi przeznaczeń, będące jeno dopełnieniem, dalszym wynikiem poprzedniego życia, mogły się były sprawdzać i spełniać.

Zapisywali mu się też uczniowie w prawdziwą niewolę, jak świadczy akt na początku 1845 r. wydrukowany w Paryżu.

„Akt mocą którego Andrzejowi Towiańskiemu Seweryn hrabia Biberstein Pilichowski, oficer wojsk polskich, zapisuję się w poddaństwo."

„W obecności Karola Różyckiego pułkownika, Romualda księcia Giedroyca i Michała Chodźki, oficerów wojsk polskich, wezwanych na świadków.

„Ja niżej podpisany Seweryn hrabia Biberstein Pilichowski z Tereskowy, uznaję Andrzeja Towiańskiego za mego Mistrza i Pana mojego, zapisując mu się prawnie w służbę i poddaństwo i obowiązuję się dopełniać święcie powinności moich dla Mistrza i Pana mojego, objętych warunkami następnemi."

„Andrzej Towiański Mistrz i Pan mój od dnia dzisiejszego ma nad osobą moją i nad majątkiem moim w Polsce posiadanym, lub nabyć się mającym, wszystkie prawa, które zapewnione są w dawnej Polsce panom nad ich poddanymi, wedle tamecznych ustaw i zwyczajów....."

W dalszym ciągu tego wielce ciekawego dokumentu, wyjaśnia hr. Pilichowski, że jako chrześcijanin i Polak czuje się do tego obowiązanym. Dokument ten podpisany dnia 6. stycznia 1845 r. i złożony do rąk Mickiewicza *).

Chcąc niejako obalić czynione sobie zarzuty herezji, udaje się Towiański z Brukselli w lecie 1843 r. do Rzymu, lecz rząd papieski wydala go ztamtąd niedługo, a posłuchania u papieża nie otrzymał. Napisawszy list do Grzegorza XVI, jak mówią ks. ks. zmartwychwstańcy: „nieprzyzwoity," wyjeżdża do Szwajcarji i tam stale zamieszkuje.

Niechętni mu opowiadają, że w Rzymie przejeżdżał się na białym koniu, by zwrócić na siebie uwagę — że z rodziną całą chodził gęsiego po mieście, udając rodzaj processji i t. d.

Ze Szwajcarji zrobił wycieczkę do Paryża 28. maja 1848. Ktoś z emigracji polskiej przez niechęć do Towiańskiego, zadenuncjował go nieuczciwie przed policją, jakoby w wypadkach czerwcowych brał udział na barykadach. Uwięziono Towiańskiego natychmiast, a jenerał Cavaignac byłby go skazał na deportację do Cayenny, gdyby nie gorliwe zajęcie się Mickiewicza, który napisał list do jenerała, zabiegami pani Mickiewiczowej temuż doręczony. Chciano list ów z denuncjacją pokazać Mickiewiczowi, ale szlachetność poety, nie chciała brudzić pamięci nazwiskiem nędznego człowieka *). Po uwolnieniu swojem wyjechał Towiański do południowej Francji, zkąd wrócił do Szwajcarji.

Tymczasem Mickiewicz w prelekcjach swoich porwany wyobraźnią, przejęty na wskróś przeświadczeniem o świętości „Sprawy," pomiędzy najwznioślejsze najgenialniejsze poglądy, wplatał apostolstwo towiańszczyzny, i ku niemu naginał historję i filozofję, a naginał ręką olbrzyma geniusza, skoro wszystko co miały dzieje i literatura, wszystko co chwila czasu przynosiła, istotnie uginało się za jego wolą i szło w służbę towiańszczyzny. Czytając te prelekcje, nie lękamy się wyznać, że prócz ostatnich pożegnalnych, wszystkie inne zmuszają do jak największego skupienia ducha, do baczności niesłychanej nad niepodległością własnego sądu — jeżeli się nie ma uledz i przyjąć wszystkiego za swoje. Sądzimy — iż niepodobna nie przyznać, że mało jest rzeczy w literaturze jakiejkolwiek, któreby na umysł czytającego tak silne wywierały wrażenie. Ztąd też nie zupełnie słusznem widzi nam się ogólnikowe twierdzenie, że: dwa drugie kursa prelekcji, są jeno rozwinięciem „Biesiady„. Zapewne, jest tam i „Biesiada" rozwinięta, ale to nie owa bałamutna Towiańskiego, ale jakieś bla-

*) Witwicki. Towiańszczyzna wystawiona i t. d.

*) Moje stosunki z Towiańskim i Towiańczykami. Paryż 1856, przez *** (Kołosowskiego).

*) Przegląd poznański T. XXV. r. 1858, str. 177—8.

*) Kor. A. Mick. T. I. str. 320—24.

ski słoneczne, które spalić mogą i oślepić, a jednym ogólnikiem zagasić się nie dadzą. Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby na wszystko bezwarunkowo co się tam znajduje, godzić się było można i godzić należało; owszem — można stawać tam do walki filozoficznej i zwyciężać nawet, — ale nie możemy uznać słusznemi dość powszechnych opinij, jakoby dwa drugie kursa prelekcji, jedynie chorobliwego nastroju ducha były owocem. Są tam bowiem prawdy społeczne, które okupywały się później krwią ludów, są tam prawdy, którym dziś już postęp czasu zapewnił uznanie, ale które wtenczas — dopiero nieśmiało na świat się wychylały. Są tam drogoskazy wytyczające drogę, na którą dopiero w najnowszej erze wejść można było bezpiecznie.

I te to właśnie iskry „najsocjalniejszego geniusza“ — jak mówi Siemieński o Mickiewiczu — sprawiły, że pod pozorem towiańszczyzny, odebrano Mickiewiczowi katedrę.

Widzieliśmy dotąd, że z towiańszczyzną wystąpili do walki: bądź duchowni, bądź katolicy tak skrajni jak Witwicki (co mu sami ks. zmartwychwstańcy przyznają w Przeglądzie poznańskim), bądź też prawie w obłąkanie popadający z dewocji Kołosowski, jak sam przyznaje się w broszurce swojej do tego. Jakkolwiek wszyscy mieli słuszność ze stanowiska nie tylko religijnego, to przecież zaprzeczyć się nie da, że walkom tym towarzyszyła namiętność, chociaż z religijnej, bądź obywatelskiej gorliwości, to przecież naginająca szermierzy do używania środków, jakiemi nie walczy się po rycersku, z otwartą przyłbicą. Wiele rzeczy świadczy za tem, że prześladowano nie tylko zasady, ale i osobę Towiańskiego; a że wreszcie rzucono się na Mickiewicza, aby go złamać i zdeptać, to już nie ulega wątpliwości. Denuncjacje przybierały się w przyzwoitszą formę ostrzeżeń, alarmowano wszystko i wszystkich: rządy i władzę kościelną. Nadawano przez to rozgłos sprawie, która byłaby sama przez się upadła, nie mając w sobie warunków bytu w oświeconem społeczeństwie.

Namiętność przeciwników szerząc takie prześladowanie „Mistrza“ „Sprawy“ i „Braci“ — zamiast gasić, rozpłomieniała umysły i właśnie ku „Sprawie“ je nachylała. Wszystko co prześladowane, tłumione — ma urok, pierwszy grzech zrodził się z zakazu. — Byli zimniejsi, co szli drogą pośrednią, co chcieli cierpliwie przeczekać — i spokojem zażegnać burzę. W ciszy, w spokoju byłaby ta rzecz przepadła sama z siebie. Sami duchowni zrobili z Towiańskiego tak groźnego przeciwnika Rzymu, jakim był Luter, lub Kalwin — a tem też jeno przysługę mu wyrządzili i tem większą wpajali w „braci“ wiarę, że „mistrz“ jest wyższą od zwykłych śmiertelników istotą.

Ks. Duński — jak sam przyznaje ks. Semeneńko — był człowiekiem niesłychanie prawego charakteru, zacny, bogobojny, uczciwy — więc nie mógł kłamać obwiniając ks. ks. zmartwychwstańców w listach swych do ks. Buquet wikarjusza jeneralnego w Paryżu — o prześladowanie Towiańskiego krętemi drogami i przypisując im wydalenie Towiańskiego z Paryża, z Rzymu, uwięzienie za Cavaignaca itd.*)

Apoteozowanie Napoleona i śmiałe poglądy messjaniczne w prelekcjach Mickiewicza, były niezawodnie powodem, dla którego odebrano mu katedrę, ale przyczyną tegoż było toż samo, co spowodowało rząd orleański do oddalenia z tejże szkoły Micheleta i Quineta. Wówczas już ultramontanizm sprzymierzał się z zapędami reakcyjnemi i podawał rządowi rękę. Nieprzebaczono trzem genialnym profesorom w *College de France*, że śmiało walczyli przeciw wstecznym kierunkom, a na nowe drogi nawoływali umysły. Stronnictwo ultramontańskie dążyło do opanowania niezawisłych, a przeto najwięcej wpływu mających katedr w kolegjum francuskiem. Starano się więc przedewszystkiem o usunięcie niebezpiecznych profesorów. Mickiewicz był mianowany profesorem tymczasowym, pod pozorem, że był cudzoziemcem, mimo, że p. Rossi i wielu innych cudzoziemców stale zasiadali na katedrach. Ta tymczasowość posady ułatwiała odebranie jej Mickiewiczowi.

Mięszanie się władz rządowych w sprawy wewnętrzne kolegjum nie było legalnem, bo szkoła ta zorganizowaną została na zasadach zupełnie odmiennych, niż wszelkie akademje, wszelkie uniwersytety. Nie składano tam żadnych egzaminów, nie wydawano patentów naukowych i nie udzielano stopni akademickich. Profesorom zostawioną była najzupełniejsza swoboda w wyborze przedmiotu wykładów i w sposobie rozwijania takowych. Wolność słowa i myśli, wolność kierunków i zasad była najzupełniejszą. Wykłady dla tych były przeznaczone, co chcieli się oddawać „poszukiwaniom ogólnym i spekulatywnym, którzy nie praktycznej korzyści, ale teoretycznej strony szukali, nie materjalnych i faktycznych wyobrażeń o historji, ale pojęcia o jej duchu, nie mechanicznego użytku języków, ale zastosowania różnych narzeczy do poszukiwań krytycznych na polu religijnem i filozoficznem“. Takie wyjaśnienie znaczenia tej szkoły, umieścił w „Monitorze“ z 17 marca 1831 minister Montalivel — i tak ją też pojmowali Mickiewicz, Michelet, Quinet.

(C. d. n.)

*) Duński prêtre zélé et serviteur de l'oeuvre de Dieu: Paris 1857.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Branie słoni w jamy na tem głównie zależy, by po wykopaniu stosownego dołu w miejscach gdzie rosną krzewy, których liście, kwiaty i owoce poszukiwane są przez słonie, przysypać zręcznie ziemią i zasłonić trawą, krzakami, gałęzmi i liśćmi, ażeby jak najstaranniej zatrzeć ślad wszelki. Jednakże pomimo zabiegów, sposób ten rzadko się udaje. Słoń jest równie zmyślny jak przezorny, i często z poruszenia ziemi, przemienienia krzewów, liści zwiędłych, nareszcie z woni jaką człowiek po sobie zostawił, wietrzy niebezpieczeństwo i bacznie go unika.

Złapanego w jamę słonia głodzą przez kilka dni; od tego zwykle rozpoczyna się poskramianie. Gdy wskutek postu osłabnie, przystępują do wyciągania; podkładają mu sznury pod nogi, szyję i brzuch, a zaprzęgnięte woły, konie lub domowe słonie, windują więźnia na powierzchnię. Zanim całkiem wydostanie się z jamy, spieszą się z nałożeniem mu pęt, żeby w razie stawiania oporu łatwiej z nim dojść do końca. Jeżeli sobie złamie nogę w usiłowaniach, jakie czyni dla wydostania się z dołu, co dość często się wydarza, dobijają go natychmiast. Musimy jeszcze dodać, że słonie wuczone do tego zajęcia nieomieszkują bić trąbami złapanego w zasadzkę brata, gdy stanie na powierzchni... Niewolnictwo upadla nawet zwierzęta.

Jeżeli administracja polowań w Indjach zapotrzebuje dużego kontyngensu słoni, rozkazuje swoim urzędnikom łapanie bez wyjątku, cokolwiek się nadarzy. Gdy nowozaciężnych chcą mieć do prędkiego użytku, zalecają branie samych dorosłych; te bronią się energiczniej i dłuższy czas nie dają się nagiąć, ale za to ich usługi są więcej cenione i długo trwałe. Starają się także użyć ich, jeżeli się uda do rozmnożenia. Na wychowanie wyszukują same najmłodsze często ssące jeszcze. Z początku są one trochę krnąbrne i nieugięte, w krótkim jednak czasie stają się zadziwiająco poufałe i figlarne. Dla nich dobierają zajęcia zastosowanego do rozwoju sił, ażeby przeciążeniem nie wstrzymać wykształcenia muskularnego.

Polowanie na stada ze słoniami domowemi urządzane przez administrację, powoduje zawsze prawie smutne wypadki; jest to gonitwa w najwyższym stopniu wzruszająca i niebezpieczna.

Upatruje się stado, za którem ludzie posuwają się ostrożnie. Kiedy już ze wszystkich stron zostało okolone przez podjeżdżaczy, jeden z jadących na tresowanych słoniach, upatrzywszy najpiękniejszego i najsilniej zbudowanego z całej gromady, goni za nim do upadłego, by zarzucić arkan, którego koniec przymocowany jest do siodła lub szyi słonia wierzchowego. Na odgłos dudy w jaką każdy ze służby jest zaopatrzony, zbiegają się jego koledzy z pomocą. Zarzucając arkany usiłują wstrzymać słonia, opanować go, i powalić na ziemię; gdy tego potrzeba, przeciągają sznury w poprzek drogi, które przymocowane jednym końcem do drzew, są wyprężone w różnych kierunkach przez oswojone słonie. Zwyciężonemu w końcu zakładają pęta i oddają pod straż sprzeniewierzonym jego braciom. W tej rozpaczliwej walce, słoń dziki wymierza straszne ciosy swoim przeciwnikom, nieoszczędzając bynajmniej na ich grzbiecie siedzących Cornaków. Częstokroć zrozpaczony, wściekły cierpieniem z odebranych ran, wpada w szał i goniąc bez opamiętania, rozbija się o drzewa, rzuca w jary i przepaście pociągając za sobą słonia i jeźdźca, i tak ginie razem ze swymi napastnikami. W takich polowaniach nie wolno strzelać chyba w ostateczności, gdy już nieodwolalne niebezpieczeństwo grozi goniącemu; dla tego zdarza się często, że strzał jest za późnym. Do podobnych gonitw w miejscowościach nierównych, przerzynanych wąwozami, górami lub zaroślami, używają zamiast zwykłego *huddah*, co jest rodzajem skrzyni z dwoma siedzeniami przyprzęgowanej na grzbiecie słonia, niskiego siodła, z którego spadnięcie jest mniej niebezpieczne. Słonie zagrzane walką i gonitwą wcale nie zważają na swoich jeźdźców i gwałtownemi ruchami powodują dość często śmiertelne spadnięcia.

Jest jeszcze jeden sposób brania słoni, i to w ogrodzenia zwane *Kheddah,* dający się zastosować tylko w pewnych porach roku. Do tego jest atoli potrzebnym liczny zastęp służby, samice doskonale wytresowane, i cały szereg przyborów wielce kosztownych. Takie *Kheddah* budują się zwykle w miejscach, gdzie rosną krzaki i ulubione przez słonie rośliny; tam z pni lub grubych kloców robią koliste ogrodzenie, obej-

mujące w swojem wnętrzu drugie podobne oparkanienie z ostrokołów, głęboko wkopanych w pewnych od siebie odstępach, tak by przystępne dla ludzi mogły się oprzeć usiłowaniom słoni. Przestrzeń między temi dwoma ogrodzeniami jest trzy do czterech metrów szeroka, barjery poprzeczne urządzone są na kilku punktach.

Jak skoro obławnicy w około rozstawieni zawiadomią o zbliżającem się stadzie, wypuszczają samice wuczone do przynęcania samców. Upodobanie ich w tem zajęciu jest doprawdy zadziwiające. Co za urok mogą one znajdować? jaką pobudką powodowane dopuszczają się takiej zdrady? Dość, że puszczone wyszukują dzikiego słonia, przywołują go czułym głosem, zbliżają się z nieśmiałością, zaczepiają, drażnią figlami, i nieznacznie chytremi zalotami, doprowadzają do *Kheddah*, a następnie nęcą w środek zagrodzenia, którego bramy jednocześnie się zamykają. Często nawet same trąbami dopomagają założyć pęta na nogi swojej oszołomionej ofiary. Jeżeli im się nie uda zwabić upatrzonego, wtedy nadzorcy wysyłają oswojone słonie, które okładając trąbami wpędzają samca między ogrodzenia, gdzie ludzie stojący za pniami ostrokołu zamykają co prędzej barjery, zarzucają mu arkany, rozciągają liny i przewracają o ziemię dzikiego kolosa. Od tego manewru zwykle rozpoczyna się edukacja, dalej idą posty i jeżeli słoń nie zginie z głodu lub ran odebranych, po niejakim czasie wychodzi jako elew wyuczony.

W pobliżu Mandelay jest urządzona arena w sposób przezemnie opisany z amfiteatrem dla cesarza, jego dworu, kobiet, dygnitarzy i cudzoziemców, których monarcha raczy zaprosić na takie przedstawienie uświetnione jego osobą. Widowisko rozpoczyna się z chwilą powrotu wyprawy myśliwskiej. Słonie domowe trzymając pomiędzy sobą więźnia, prowadzą go do środka zagrody, podobnie jak u nas patrol towarzyszy delikwentowi do kordegardy. Scena zwalczania służy za wstęp do dramatu; akt końcowy przedstawia gimnastyczne obroty i różne sztuczne skoki i tańce dokonywane przez kuglarzy i klownów ze współudziałem aktorów trupy gruboskórnych, którzy niemniej jak ich napastnicy odznaczają się zwinnością. Jedno takie przedstawienie widziałem naocznie i nie wyjdzie mi ono z pamięci. W walce wzruszającej dwóch ludzi zostało zabitych, jeden pod uderzeniem trąby, która z szybkością piorunu spadła mu na głowę, legł rażony na miejscu, drugi zakończył życie zmiażdżony nogami dzikiego słonia. Rozwścieczony zwierz końcem swej trąby pochwycił Cornaka i okręcając w pół zdusił potężnym uściskiem, poczem rozłożył na ziemi i depcąc po nim, wnętrzności rozrzucał po całej arenie. Przerażająca ta scena zakończyła się w kilkunastu sekundach — dla mnie trwała ona wieki, myślałem, że się nigdy nie skończy.... I to nazywa się rozrywką.

Słonie w oczach Azjatów służą do podniesienia blasku cesarskiego dworu, i uświetnienia ceremonij religijnych, z tego więc powodu naczelnicy różnych indyjskich plemion starają się mieć ich jak największą liczbę. Jedne służą do parady, inne przeznaczone są dla kobiet haremu, dla dygnitarzy dworu, a najpiękniejsze do dźwigania samych książąt i monarchów; między takiem stadem jest zwykle kilka wuczanych do walki. Ale na tym punkcie często wszelkie usiłowania umiejętnej dresury zostają bezowocne, słonie bowiem jeżeli nie są z natury pochopne do zaczepki i zgryźliwego humoru, nie chętnie robią z siebie widowisko dla uciechy pospólstwa żądnego krwawych wrażeń. Ztąd do walki wyszukują słonie, które oprócz siły i zręczności, posiadają temperament drażliwy i są trudne do poskromienia. Jeżeli uda się któremu z nich zabić parobka lub pokaleczyć dozorcę, czyn ten bywa mu policzony za zaletę, poczem zostaje zaciągnięty w szeregi walecznych rycerzy, wrota honorowej stajni roztwierają się przed nim i od tej chwili będzie miał zaszczyt bawienia jego książęcą lub cesarską mość.

Koń, niedźwiedź, byk, bawół i hyena, chociażby obdarzone z natury największą zręcznością i odwagą, nie są zdolne, chyba z bardzo rzadkiemi wyjątkami, walczyć z wyborowym słoniem. Lew i tygrys — mam tu na myśli tylko główne tego ostatniego odmiany — mogą mierzyć się z takim przeciwnikiem. Tygrys w swoich z nim walkach wychodzi często zwycięsko, co zawdzięcza gwałtowności napadu, słoń atoli umie się i przed tą ustrzedz taktyką. W chwili gdy się spodziewa skoku, schyla głowę dozwalając się przesadzić lub rzuca się w bok i tem unika groźnych pazurów; wtenczas dopiero zmierza się zdaleka i usiłuje nadziać na kły przeciwnika, albo zabić uderzeniami trąby. Nosorożec zaś zbliża się do atakującego z zamiarem rozdarcia go u dołu swoim rogiem. Tygrys usadowiwszy się na karku słonia, oślepia go pazurami, dusi za szyję i krew wypija; gdy się uczepi grzbietu, usiłuje rozerwać mu ścięgle w zgięciu nóg i powalić na ziemię. W takich razach słoniom i nosorożcom mającym na swych barkach wpitego niby pijawkę nieprzyjaciela, nie pozostaje nic innego jak rzucić się o ziemię i swoim ciężarem zdusić tygrysa. Jednakowoż wśród takich walk, pozostaje zawsze jeden środek zbawczy, ale jedynie przystępny dla tygrysa, z którego też prawie zawsze skorzysta — a tym jest ucieczka.

Walki między słoniami nie przedstawiają zwykle wielkiego interesu. Zaczepka ich jest przymusowa, albo jeden albo drugi nie ma ochoty się bić, często oba myszkują, i wprowadzone na arenę, spoglądają z boku na siebie, obchodzą z daleka, i każdy idzie w punkt przeciwny, aby zająć spokojnie miejsce tuż przy ogrodzeniu. Jeżeli zbyt długo zachowują neutralność, drażnią je petardami i racami, a gdy i to nie pomaga, i słonie wciąż stoją na jednem miejscu, wysyłają im strzały, spikują rożnami, pieczętują rozpalonem żelazem, póki jeden z nich doprowadzony do szału bolem i odurzony wrzaskiem publiczności, nie namyśli się w końcu zaczepić swego przeciwnika. Czasem jednak znajdzie się słoń, którego wściekły humor nie potrzebuje żadnej zachęty i zaledwie wprowadzony w ogrodzenie spotka się oko w oko z przeciwstawionym sobie nieprzyjacielem, porusza się z miejsca i przyspieszając biegu rzuca się nań niby huragan z głową spuszczoną ku ziemi, trąbą jak bicz wzniesioną w górę i kłami gotowemi do przebicia.

Samice zwykle są wyłączone od takich bójek, chociaż zdarza się, że te, co mają większe od innych wyrosty zębne, powalają o ziemię i zwalczają samców niepospolitej siły. W tych rzadkich wypadkach widzowie przypisują zwycięstwo szarmanterji samca.

Ilekroć dwa słonie nie mające zupełnie ochoty zabijać się wzajemnie, zmuszone tylko przez gwałt im zadany muszą z sobą walczyć, zawsze zbliżają się do siebie ostrożnie i jakby za wzajemną umową starają się unikać gwałtownych zetknięć, któreby mogły spowodować kłów złamanie. Z niejaką rzecby można galanterją rozpoczynają pojedynek. Skrzyżowawszy kły i trąby, opierają czoło o czoło, łopatkę o łopatkę z przednią nogą wysuniętą naprzód, i mocując się, próbują sił swoich. Oparłszy się mocno na tylnych nogach gwałtownym ruchem usiłują przewrócić na wznak swego przeciwnika. Powalenie jednego jest finałem przedstawienia; służba z obawy, by zwycięsca nie stratował zwalczonego, spieszy pośredniczyć i odprowadza uwieńczonego.

Słoń odnoszący zwycięstwo, przynosi swemu dozorcy tyle chwały, chociaż nie zysku, co u nas koń wygrywający. To też dozorca dokłada wszelkich starań, by wciągnąć słonia do walki; aby osiągnąć pomyślny rezultat drażni go, robi dzikim, wściekłym nawet, nieoszczędzając do tego ni razów, ni głodu, ni innych im znanych sposobów. Niektórzy nawet posuwają gorliwość aż do zadawania w dniu walki środków rozgrzewających, mięszając do napoju alkohol, a czasem i smołę gaujha. Pod wpływem takiego upojenia zwierzęta stają się jeszcze groźniejszemi, i można sobie wyobrazić, jakie czasem straszne skutki wywołuje takie podniecenie, gdy stawią samicę za przedmiot walki. Zaledwie wprowadzone słonie ją dostrzegą, z nieokreśloną zażartością rzucają się na siebie. Ziemia drży pod ich stopami, zdala słyszeć się daje potężne dyszenie, zetknięcie się dwóch kolosów obija się gwałtownem echem po całym amfiteatrze. Kły łamiąc się padają w kawałkach na piasek, krew bucha fontanną, nie ma już żadnych względów, żadnej galanterji ni przebaczenia, ogień, który pali zaciekłych przeciwników zagnałby ich na tysiące śmierci, pijani wściekłością, żądzą i haszyszem nie oszczędzają nikogo. Albo jeden z walczących zostaje w pośrodku rozdarty, lub oba ciężko ranni grożą sobie wzajem trąbami i gotują na nowy bój zawzięty, w którymby się pewnie w kawałki poszarpały, gdyby nie prędka interwencja służby, która zarzuca arkany, przeciąga liny i stara się rozerwać walczących. W takich razach o ludzi najmniej się turbują; im więcej krwi przelanej i ofiar w piasku leżących, tem zabawniejsze jest przedstawienie — oburzające okrucieństwem. Cóż dopiero gdy jeden z walczących lekko raniony spostrzeże, że mu przez ten czas ukradkiem uprowadzono samicę; dozorca, który by chciał go powstrzymać, byłby pierwszy wystawiony na śmiertelne ciosy. Biada tym co za nadto okażą się gorliwi! Biada widzom, gdyby ogrodzenie ustąpiło wściekłym natarciom oszalałego potwora! (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ XIX.

(Dokończenie).

Co dzień Cyrus Smith i Gedeon Spilett wchodzili na Wielką Terasę. Niekiedy towarzyszył im Harbert, nigdy zaś Pencroff, mający

wstręt do widzenia wyspy pod nową postacią, przedstawiającą obraz tak strasznego zniszczenia.

A było to w istocie rozpaczliwe widowisko. Cała część lesista wyspy znajdowała się obecnie w stanie zupełnego ogołocenia. Jedyny klomb zielonych drzew wznosił się jeszcze na krańcu półwyspu Wężowego. Tu i owdzie wykrzywiało się kilka zczerniałych i odartych z liści gałęzi. Miejsce, zajmowane niegdyś przez lasy, miało pozór jeszcze większego pustkowia, niż błota Tadornów. Tutaj lawy rozgościły się w zupełności. Gdzie niegdyś pyszniła się godna podziwienia zieloność, tam obecnie widać było tylko dzikie nagromadzenie brył wulkanicznych. Doliny potoku Katarakty i Dziękczynnej nie niosły już ani kropelki wody do morza, i osadnicy nie mieliby czem zaspokoić pragnienia, gdyby jezioro Granta wyschło było do szczętu. Na szczęście jednak kraniec jego południowy oszczędzonym został i utworzył rodzaj stawu, w którym się pomieściła reszta wody zdatnej do picia na wyspie. Ku północnemu zachodowi zarysowywały się ostro i szorstko kontury ścian wulkanu, tworząc jakoby szpon olbrzymi, zatopiony w powierzchnię ziemi. Jakież bolesne widowisko, co za przerażający obraz i ileż przedmiotów do żalu dla osadników, którzy z żyźnej siedziby, pokrytej lasami, zroszonej wodą, bogatej zbiorami, naraz znaleźli się przeniesionymi na ogołoconą skałę, kędy bez zapasów swoich, nie mieliby byli czem się nawet pożywić!

— Ależ to serce pęka! — ozwał się pewnego dnia Gedeon Spilett.

— O tak, Spilecie — odrzekł inżynier. — Oby tylko niebo dozwoliło nam czasu na skończenie okrętu, jedynego dziś naszego schronienia!

— Czy nie uważasz Cyrusie, że wulkan zdaje się uspokajać. Miota jeszcze lawy, ale mniej już obficie, jeżeli się nie mylę!

— Wszystko to jedno — odrzekł Cyrus Smith. — Ogień wciąż jednak pała we wnętrznościach góry, a może, kto wie, czy nie wpadnie w głąb jej lada chwila. Znajdujemy się w położeniu podróżnych, na okręcie pożeranym przez pożar, którego ugasić nie są w stanie i wiedzą, że prędzej czy później, dojdzie do składów prochu! Chodź, chodź, Spilecie, nie traćmy ani chwili!

Przez ośm dni jeszcze, to jest do 7. lutego, lawy nie przestawały się wylewać, utrzymując się jednakże we wskazanych powyżej granicach. Cyrus Smith obawiał się nadewszystko, ażeby płynne materje nie przelały się na wybrzeże, w takim razie bowiem warstatu budowy niepodobna byłoby uratować. Około tej epoki również osadnicy poczuli w rusztowaniu wyspy jakieś kołysania się i drżenia, które ich w najwyższym stopniu zaniepokoiły.

Nadszedł 20. lutego. Miesiąca trzeba było najmniej, ażeby okręt mógł być spuszczonym na morze. Czyż wyspa do tej pory wytrzyma? Zamiarem Pencroffa i Cyrusa Smitha było przystąpić do spuszczenia statku na morze, jak tylko pudło jego stanie się dostatecznie nieprzepuszczającem wody. Pokład, urządzenie wewnętrzne i ożaglowanie można było zostawić na później, najbardziej zaś palącą rzeczą było znaleźć co prędzej pewne schronienie na zewnątrz wyspy. Może nawet było stosowną rzeczą odprowadzić okręt aż do portu Balonowego, to znaczy o ile można najdalej od ogniska wybuchu, przy ujściu bowiem Dziękczynnej, pomiędzy wysepką a murem granitowym mógł być narażonym na zgruchotanie, w razie wstrząśnienia wyspy w podstawach. Wszystkie więc wysiłki osadników skoncentrowały się obecnie na dokończeniu pudła okrętu.

Tak doszli osadnicy do 3. marca i już mogli obliczyć, że spuszczenie okrętu nastąpi za jakie 12 dni.

Nadzieja więc powróciła do serc ich, nawidzonych tyloma próbami w ciągu tego czwartego roku pobytu na wyspie Lincolna! Nawet Pencroff zdał się wychodzić nieco z ponurego milczenia, w jakie go pogrążyły ruina i zniszczenie ich siedliska. W danej chwili, co prawda, zajmował go tylko ten okręt, skupiający w sobie wszystkie ich nadzieje.

— Dokończymy go — mawiał do inżyniera — dokończymy panie Cyrusie, a czas już na to, bo dni mijają i wkrótce będziemy mieli już porównanie dnia z nocą. No!... jeżeli będzie potrzeba, to się zrobi przystanek przez całą zimę na wyspie Tabor! Ale wyspa Tabor po wyspie Lincolna!... Ach, dolaż moja! Czym mógł kiedy pomyśleć, że się czegoś podobnego doczekam!

— Spieszmy się! — odpowiadał mu zawsze na to i niezmiennie inżynier.

I robota paliła im się w rękach.

— Mój panie — zapytał Nab w kilka dni później — czy sądzisz, że gdyby kapitan Nemo żył jeszcze, zdarzyłoby się to wszystko?

— Niewątpliwie, Nabie — odrzekł inżynier.

— A ja, ja nie sądzę! — szepnął Pencroff do ucha Nabowi.

— Ani ja! — odrzekł najpoważniej Nab.

W pierwszym tygodniu marca góra Franklina poczęła być znowu groźną. Tysiące nici szklanych, powstałych z płynnych law, spadło jak ulewa na ziemię. Krater przepełnił się znowu materjami wrzącemi, które się polały po wszystkich stokach wulkanu. Potok ten spłynął po powierzchni stwardniałych tufów i dokonał zniszczenia chudych skieletów drzew, które się oparły pierwszemu wylewowi. Prąd rwący tym razem w kierunku południowo-zachodnim po wybrzeżu jeziora Granta przeszedł po za potok Glicerynowy i wtargnął na Wielką Terasę. Ostatni ten cios, zadany dziełu osadników, był straszliwy. Z młyna, budynków dla drobiu, ze stajen nic nie pozostało. Ptactwo spłoszone rozpierzchło się we wszystkich kierunkach. Top i Jow dawali oznaki największego przerażenia, instynkt ich ostrzegał o zbliżaniu się katastrofy. Znaczna ilość zwierząt na wyspie zginęła podczas pierwszego wylewu. Te, które go przeżyły, nie znalazły innego schronienia nad błota Tadornów, z wyjątkiem kilku, którym Wielka Terasa udzieliła schronienia. Ale i ten ostatni zakątek zamknął się dla nich nareszcie, i rzeka law, staczając się z grzbietu muru granitowego, poczęła strącać na wybrzeża swoje ogniste katarakty. Szczytna groza tego widowiska opisać się nie da. W nocy zdawało się, że to Niagara roztopionego metalu, z wyziewami płonącemi u góry a kipiącemi masami u dołu!

Osadników przyparło w ostatniem ich schronieniu, chociaż więc wyższe składy pudła okrętu nie były jeszcze dobrze obetkane i zalane smołą, postanowili spuścić je na morze!

Pencroff i Ayrton przystąpili tedy do odpowiednich przygotowań, a sama operacja miała nastąpić nazajutrz rano, 9. marca.

Ale w ciągu tej nocy z 8. na 9. marca, olbrzymi słup wyziewów, wydobywszy się z krateru, wzniósł się wśród przerażających wystrzałów więcej niż na trzy tysiące stóp w górę. Ściana pieczary Dakkara widocznie musiała ustąpić pod naciskiem gazów i morze wpadłszy przez komin główny w przepaść wyziewającą płomień, zamieniło się nagle w parę! Wybuch, który zapewne słychać było na setki mil w około, wstrząsnął warstwami powietrza. Kawały gór runęły w Ocean Spokojny i w kilka chwil fale morskie pokryły miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się wyspa Lincolna!

Rozdział XX.

(Osamotniona skała na Oceanie Spokojnym. — Ostatnie schronienie osadników wyspy Lincolna. — Śmierć w perspektywie. — Niespodziewany ratunek. — Dla czego i jakim sposobem przybywa? — Ostatnie dobrodziejstwo. — Wyspa na lądzie. — Grób kapitana Nemo.)

Skała osamotniona, długa na stóp trzydzieści a na piętnaście szeroka, wystająca z wody ledwo na dziesięć — oto jedyny punkt stały którego nie pokryły fale oceanu.

Tyle tylko pozostało z masy Granitowego Pałacu.

Mur runął, potem rozsypał się, a kilka skał większych skupiło się i utworzyło ten wystający punkt. Naokoło wszystko znikło w przepaści; stożek wyższy góry Franklina rozdarty wybuchem, szczęki lawowe zatoki Rekina, Wielka Terasa, wysepka Ocalenia, granity portu Balonowego, bazalty krypty Dakkara, długi półwysep Wężowy, chociaż tak oddalony od ogniska wybuchowego! Z wyspy Lincolna pozostała tylko ta skała wąska, obecne schronienie sześciu osadników i Topa.

Zwierzęta poginęły równie w katastrofie, tak ptaki jak i inni reprezentanci fauny na wyspie, wszystko zostało zgruchotane lub potopione, a i sam nawet Jow nieszczęśliwy znalazł zgon w jakiejś rozpadlinie.

Że Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Nab i Ayrton przeżyli nocną katastrofę, przypisać należy tej okoliczności, iż zebrani właśnie w tej chwili wszyscy pod namiotem, zrzuceni zostali w morze, gdy szczątki wyspy ze wszech stron sypały się ulewą.

Wypłynąwszy na powierzchnię ujrzeli niedalej jak o pół węzła tylko tę gromadę skał, na której, zbliżywszy się, wylądowali.

I na tej to nagiej skale żyli już od dziewięciu dni! Trochę zapasów żywności dobytych przed katastrofą ze składu w Pałacu Granitowym, trochę wody słodkiej która się po deszczu zebrała w wydrążeniu skały — oto było całe tych nieszczęśliwców mienie. Ostatnia ich nadzieja — okręt — poszedł w drzazgi. Nie posiadali żadnego środka opuszczenia skały, na której się znajdowali. Nie mieli oni ani sposobu do wydobycia się. Przeznaczeniem ich było zginąć.

Tego dnia, 18. marca, pozostawało im ledwie konserw mięsnych na dwa dni, jakkolwiek poprzestawali tylko na zaspokojeniu najgwałtowniejszego głodu. Cała ich wiedza, cała inteligencja bezsilną była w tem położeniu. Los ich zależał jedynie od woli Boga.

Cyrus Smith okazywał zupełny spokój. Gedeon Spilett, bardziej nerwowy i Pencroff miotany gwałtownym a głuchym gniewem, biegali tam i napowrót po skale. Harbert nie opuszczał inżyniera i spoglądał nań, jakby żądając pomocy, której ten dać nie był w stanie. Nab i Ayrton zrezygnowali się już na swój los.

— O! nędzo! o nieszczęście!... — powtarzał po wielekroć Pencroff. — Gdybyśmy mieli

choć łupinę z orzecha do przeprawienia się na wyspę Tabor! Ale nie, nie!

— Kapitan Nemo szczęśliwy że umarł! — ozwał się pewnego razu Nab.

Przez pięć dni następnych Cyrus Smith i nieszczęśliwi jego towarzysze żyli z największą oszczędnością, jedząc tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu. Wycieńczenie ich dochodziło ostatnich granic; Harbert i Nab poczęli zdradzać pierwsze oznaki gorączki.

W takiem położeniu pozostawała im choćby iskierka nadziei? Nie! Jakaż przedstawiała się dla nich jedyna możność ratunku? Że okręt jaki przejdzie w pobliżu ich skały. Ale wiedzieli dobrze z doświadczenia, że okręty nie nawidzały nigdy tej części Oceanu Spokojnego. Mogliż liczyć na to, żeby przez zbieg okoliczności prawdziwie opatrznościowy yacht szkocki pojawił się właśnie w tej porze w celu zabrania Ayrtona z wyspy Tabor? Nie było w tem najmniejszego prawdopodobieństwa, a zresztą przypuściwszy nawet, żeby przybył, to ponieważ osadnicy nie mogli złożyć na wyspie Tabor zapisku, wskazującego zmianę zaszłą w położeniu Ayrtona, komendant yachtu po daremnem przeszukaniu wysepki popłynął by znowu na morze i skierował się ku okolicom pod niższą szerokością położonym. A więc nie! nie mogli mieć już najmniejszej nadziei ratunku, i śmierć przerażająca, śmierć z pragnienia i głodu oczekiwała ich tylko na tej skale. I już leżeli rozciągnięci na tej skale, bez sił, bez świadomości, co się w około nich dzieje. Tylko Ayrton, w potężnym wysiłku, unosił jeszcze głowę i rzucał zrozpaczonem okiem na to samotne, puste morze.

I oto, rano 24 marca, ręce Ayrtona wyciągnęły się w przestrzeń, podniósł się, najprzód na klęczkach, potem stanął i ręką zdawał się robić jakieś znaki...

Okręt zjawił się na widnokręgu wyspy. I okręt ten widocznie przebiegał morze nie bez planu. Gromada skał była mu celem, do którego dążył w prostej linji, dodając pary — i nasi nieszczęśliwi byliby go już od wielu godzin spostrzedz mogli, gdyby byli mieli dosyć sił do obserwowania widnokręgu.

— *Dunkan!* — szepnął Ayrton i padł na dawne miejsce swoje bez ruchu.

. . . .

Skoro Cyrus Smith i towarzysze jego powrócili do przytomności, dzięki staraniom, któremi ich obsypano, ujrzeli się w komnacie parowca, nie mogąc pojąć jednak, jakim sposobem uszli śmierci.

Jedno słowo Ayrtona wystarczyło do objaśnienia im wszystkiego.

— *Dunkan!* — szepnął.

— *Dunkan!* — powtórzył Cyrus Smith.

I podnosząc dłonie ku niebu, zawołał:

— Ach! Wszechmogący Boże — a więc wolą twoją było nas uratować!

Był to w samej rzeczy *Dunkan*, yacht lorda Glenasvana, w danej chwili zostający pod wodzą Roberta, syna kapitana Granta, którego wysłano na wyspę Tabor, aby zabrał z niej Ayrtona i zwrócił mu ojczyznę po dwunastu latach pokuty!...

Osadnicy byli uratowani — i już na drodze do powrotu!

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — któż to mógł podać ci myśl zwrócenia się o sto mil na północy wschód, po opuszczeniu wyspy Tabor, kędyś nie znalazł Ayrtona.

— Panie Smith — odrzekł Robert Grant spieszyłem nietylko po Ayrtona ale po pana i po twoich towarzyszy!

— Po moich towarzyszy i po mnie?

— Niewątpliwie! Na wyspę Lincolna!

— Na wyspę Lincolna! — zawołali jednogłośnie Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff w najwyższym stopniu zadziwieni.

— Zkądże pan znałeś wyspę Lincoln, kiedy jej nie ma na żadnej mapie?

— Dowiedziałem się o niej z zapisku, który ście pozostawili na wyspie Tabor — odrzekł Robert Grant.

— My — zapisek? — zawołał Gedeon Spilett.

— Bezwątpienia — oto ten właśnie — odpowiedział Robert Grant, podając im dokument, na którym była wskazana długość i szerokość położenia wyspy Lincolna „obecnego siedliska Ayrtona i pięciu amerykańskich osadników“.

— To kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith przeczytawszy dokument i poznawszy na nim tąż samą rękę, którą był napisany bilet znaleziony w zagrodzie!

— Ach! — zawołał Pencroff — więc to on używał naszego *Bonawentury*, on, który się odważył tam puścić aż na wyspę Tabor!...

— Dla złożenia tam tego zapisku! — dokończył Harbert.

— A więc miałem wszelką słuszność, mówiąc, że nawet z po za grobu, kapitan odda nam jeszcze ostatnią przysługę! — zawołał marynarz.

— Przyjaciele — ozwał się Cyrus Smith głęboko wzruszonym głosem — niechaj Bóg najwyższego miłosierdzia przyjmie duszę kapitana Nemo, naszego zbawcy!

Osadnicy odkryli głowy przy tych ostatnich słowach Cyrusa Smitha i w cichym szepcie powtórzyli imię kapitana.

W tej chwili Ayrton, zbliżywszy się do inżyniera, zapytał naturalnym tonem.

— Gdzie schować ten kufereczek?

Był to kufereczek z klejnotami, ocalony przez Ayrtona z narażeniem życia w chwili zapadnięcia się wyspy — skarb, który wszyscy mieli za stracony, a który Ayrton wiernie doręczał w tej chwili inżynierowi.

— Ayrtonie! Ayrtonie! — ozwał się doń Cyrus Smith z głębokiem wzruszeniem.

A potem zwróciwszy się do Roberta Granta.

— Panie — dodał — na miejscu winowajcy, odnajdujesz dzisiaj człowieka, którego pokuta odrodziła w uczciwości — tak, że dumny jestem, podając mu rękę.

Następnie wtajemniczono Roberta Granta w zadziwiające dzieje kapitana Nemo i osadników na wyspie Lincolna. Czego wysłuchawszy, i zanotowawszy pozycję owej skały, której od tej pory należało się miejsce na karcie Oceanu Spokojnego, Robert Grant rozkazał powiększyć siłę pary.

W piętnaście dni potem, osadnicy wylądowali w Ameryce i odnaleźli ojczyznę swoją uspokojoną po owej straszliwej wojnie, która się skończyła tryumfem sprawiedliwości i prawa.

Z bogactw zawartych w kufereczku, przekazanym w spadku przez kapitana Nemo osadnikom wyspy Lincolna, największa część użytą została na zakupno obszernej majętności w Stanie Jowa. Jedyną tylko perłę, najpiękniejszą, wyłączono z tego skarbu i przesłano lady Glenarvan, w imieniu sześciu powróconych ojczyźnie przez „*Duncana*“.

Tu w tej majętności, osadnicy powołali do pracy, to znaczy do majątku i szczęścia tych wszystkich, którym zamierzali ofiarować gościnność na wyspie Lincolna. Tu założona została obszerna osada, której nadano imię wyspy zapadłej w głąb Oceanu Spokojnego.

Znajdowała się tu rzeka, której nadano imię Dziękczynnej, góra, która przybrała nazwę Franklina, jeziorko ochrzczono jeziorem Granta, lasy nazwana lasami Zachodniej Ręki. Była to jak gdyby wyspa na stałym lądzie.

Tutaj pod inteligentną ręką inżyniera i jego towarzyszy wszystko się sporzyło. Ani jeden z dawniejszych osadników wyspy Lincolna nie usunął się, wszyscy bowiem przysięgli żyć zawsze razem. — Nab zawsze w pobliżu swego pana, Ayrton gotów do poświęcenia przy każdej sposobności — Pencroff jeszcze zaciętszy dzisiaj rolnik, niż kiedyś marynarz — Harbert, który ukończył studja swoje pod kierunkiem Cyrusa Smitha — i Gedeon Spilett, założyciel *New Lincoln Herald'a*, najlepiej poinformowanego na całym świecie dziennika.

Tutaj Cyrus Smith i jego towarzysze otrzymali kilkakrotnie odwidziny lorda i lady Glenarvan, kapitana Johna Mangles i jego żony, siostry Roberta Granta, a także samego Granta, majora Mac Nabbsa — tych wszystkich, którzy byli wmieszani w jakikolwiek bądź sposób w podwójną historję kapitana Granta i kapitana Nemo.

Tu nakoniec, żyli wszyscy szczęśliwie, połączeni obecnie, tak silnie jak niegdyś; ale nigdy nie mogli zapomnieć owej wyspy, na którą przybyli ubodzy i nadzy, tej wyspy, co przez cztery lata zaspakajała wszystkie ich potrzeby, a z której pozostał tylko kawał granitu bity przez wały spokojnego Oceanu — będący grobowcem człowieka, którego zwano niegdyś kapitanem Nemo!

KONIEC

trzeciej i ostatniej części „Wyspy Tajemniczej“.

Czem to życie?

Za nieznanem — westchnień kilka,
Tyleż jasnych dni uniesień,
Wiele łez — a szczęścia chwilka,
Krótka wiosna, ciągła jesień,
Walka z dolą, jawnie, skrycie,
Oto: czem jest nasze życie!

W pośród kurzy — odblysk słońca,
Czasem jasny, częściej łzawy,
I tęsknoty toń bez końca,
Los od licznych zmian jaskrawy
Aż ustanie serca bicie...
Oto: czem to nasze życie!

Juljan Naganowski.

Do....

Z Wiktora Hugo.

Dziecię! gdybym był królem, oddałbym państwo,
Moje ludy, berła i moje poddaństwo,
I złotą koronę i bogactwa moje,
Perły, kosztowności i królewskie stroje
Za jedno spojrzenie Twoje!

Gdybym był Bogiem — ziemię w chmurach rączych,
Aniołów i ludzi przed mą mocą drżących,
W czeluściach nieprzystępnych potępieńców rój,
Nieskończoność i wieczność, niebo i świat mój,
Za jeden uścisk Twój!

Wł. Jarosz.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

III.

Piękna amazonka pomykając obok swego towarzysza, od czasu do czasu uderzała szpicruzgą wierzchowca po szyi, jakby jego bieg nie był dość rączy. A był to rumak pełnej krwi arabskiej, który mógł śmiało iść o lepsze z biegunami wyścigowemi. Rozumiejąc wolę swojej pani, nie pędził, lecz płynął i niekiedy głośno parskał. Koń Edmunda, bojąc się by go współzawodnik nie powstydził, wytężał wszystkich sił i szczęśliwie tworzył jednę linję z wierzchowcem hrabiny. Chłopcy nie mogąc zdążyć za państwem, zostali znacznie w tyle.

Edmund po kilkakroć usiłował nawiązać rozmowę, lecz zaledwie mogli zamienić kilka słów luźnych. Prąd wiatru robił głos niewyraźnym.

Stanęli nad rzeką. Prom znajdował się po tej stronie, a tak był natłoczony wozami wieśniaków powracających z jakiegoś jarmarku, że o pomieszczeniu czterech koni trudno było myśleć. Zapytani przewoźnicy, czy nie możnaby usunąć jakiegoś wozu, odpowiedzieli przecząco. Woda wskutek przypływu rwała niesłychanie, zwłaszcza pod brzegiem, obrócenie zatem promu na miejscu i wycofanie choćby jednego wozu, narażało na stratę czasu i niebezpieczeństwo.

— A dwa konie pomieszczą się jeszcze? — zapytała hrabina.

— Dwa staną wygodnie — odrzekł przewoźnik.

— Więc jedźmy najpierw my, panie Edmundzie, a potem przewiozą się nasi chłopcy.

— Myśl wyborna! — odpowiedział Edmund.

Za chwilę nasi znajomi stanęli na promie. Tu zsiedli z koni, które wzięli za cugle dwaj wieśniacy. Hermina patrzyła przed siebie. Edmund rzucał na nią wzrok z ukosa, przygryzając końce małego wąsika.

Woda była bystra i jak o tej porze niezwykle szeroka. Lina, do której prom był przypięty, dzwoniła jak struna wyciągnięta.

— Nie uważasz pan — przemówiła nareszcie pierwsza — że dzisiejsza nasza wycieczka jest niesłychanie romantyczna. O tej godzinie... przy blasku wschodzącego księżyca... na wodzie rwącej, a w dodatku na promie, który każdej chwili może zatonąć, bo kochany pan Krzysztof jeszcze go ponoś nie naprawił... Cha! cha! cha! Ciekawam co byś pan też robił, gdybyśmy się tak doprawdy topić zaczęli.

— Ratowałbym najpierw panią...

— Bardzo wątpię. Najpierw myślałbyś pan o swoim ratunku.

— Zkąd takie przypuszczenie?

— Bo wy panowie jesteście pod słońcem pierwszymi egoistami.

— Prócz mnie...

— Doprawdy? Chciałabym się przekonać.

— Rozkaż pani.

— A więc skocz pan w wodę.

— W wodę? teraz?

— Widzisz pan, że jesteś egoistą! Gdybyś nim nie był, nie wahałbyś się ani chwili.

— Nie rozumiem cię hrabino... Czyż to egoizm, jeżeli nie chcę popełnić szaleństwa, które nikomu nie przynosząc najmniejszej korzyści, naraziłoby moje życie, potrzebne dla innych?

— Podoba mi się pańska odpowiedź, lubię szczerość.

Urwała; potem uderzywszy kilka razy szpicruzgą po amazonce, odwróciła się od Edmunda i patrząc znowu na fale pomykające, zapytała jakby od niechcenia.

— Pan musisz być bardzo szczęśliwym... czy tak?

— Rzeczywiście... bardzo...

— Dla czego pan powiedziałeś to tak dziwnie?

— Bo może chciałbym być szczęśliwszym.

— Co mówisz panie Edmundzie, więc pańskie szczęście nie jest pełne?

— Owszem, jestem szczęśliwy, bardzo nawet szczęśliwy... chociaż przyznasz pani sama, że wieczna pogoda, bez chmur i burzy, może nas w końcu zniecierpliwić.

— Rozumiem... jasne słońce i niebo uśmiechnięte sprzykrzyły się panu... pan lubisz rozmaitość... Wstydź się panie Edmundzie skarżyć się tak wcześnie. Wszak dopiero dwa lata jakeście się pobrali, cóż to później będzie!

Edmund może nie chciał, a może nie mógł odpowiedzieć, bo właśnie prom przybił do brzegu. Gdy napowrót koni dosiedli, zapomniawszy o chłopakach, ruszyli drogą, jadąc teraz krok za krokiem.

— Nic mi pan nie odpowiesz na ostatnią moją uwagę? — zapytała Hermina po dłuższem milczeniu.

— Chyba tyle, że nie pragnę rozmaitości, lecz pełni życia.

— To na jedno wyniesie.

Nowe milczenie.

— Przypominasz pan sobie — zaczęła znowu hrabina — że w dniu pańskiego powrotu z zagranicy, dysputowaliśmy dość długo o teraźniejszych kierunkach w świecie naukowym. Wtedy broniąc krytyki zdrowego rozumu, powiedziałeś pan, że tylko w to powinniśmy wierzyć co zbadać możemy.

— Pamiętam każde słowo.

— Jeżeli tak, to powiedz mi pan teraz, czy wierzysz w uczucie?

— Wierzę, bo jakkolwiek jest niewidzialne, można je zbadać.

— Zapewne za pomocą dowodów?

— Nie inaczej.

— A jeżli nie ma dowodów?

— W takim razie trzeba je odczuć.

— Ślicznie pan bronisz swojej teorji! Odczuwając, zrywasz z rozumem, a stajesz się marzycielem. Odkąd to popadłeś w tę drugą ostateczność?

— Odkąd zrozumiałem, że są siły, które nami rządzą...

W tej chwili Hermina tak silnie uderzyła konia, że ten wspiął się, a potem w skoku szalonym naprzód się rzucił. Przestraszony Edmund w ślad za nim popędził, lecz dość czasu minęło, zanim zrównał się z towarzyszką.

Właśnie znajdowali się wśród lasu z rzadka zarosłego majestatycznemi dębami. Droga w tem miejscu była dość wąska, tak dalece, że jadący stępo obok siebie prawie dotykali się ramionami. Księżyc ciekawy jak stary kawaler spoglądał ukradkiem na młodą parę, a chłodny wiatr rozwiewał woalkę u kapelusza Herminy i rzucał ją na twarz Edmundowi.

Na skręcie sterczał czarny pień opalony. Koń Herminy przestraszywszy się tego widoku, skoczył gwałtownie w bok, poczem dał się słyszeć głos pełen przestrachu:

— Panie Edmundzie!... Edmundzie!

Osadzić na miejscu swego wierzchowca, zarzucić mu trzęzlę na szyję, zeskoczyć i pochwycić konia hrabiny u wędzidła, było dlań dziełem jednego mgnienia oka. Arab wspinał się jeszcze, ale wnet się uspokoił.

— Smutny wypadek — przemówiła amazonka głosem lekko drżącym — zdaje mi się, że pękły popręgi... siodło się zsuwa.

— Proszę, zsiądź hrabino czemprędzej! — zawołał Edmund.

— Zechciej mi pan pomódz, bo siodło się przeważy, gdy sama zechcę zeskoczyć.

Widząc, że koń stoi już spokojnie, Edmund przysunął się ostrożnie i Herminę wpół ujął. Zapewne bojąc się, by szybki ruch ponownie konia nie spłoszył, dłużej zatrzymał piękny ciężar w swoich objęciach, niż może tego konieczność wymagała... potem postawił ją na murawie, w pełnem świetle księżyca.

— Jacy my lekkomyślni panie Edmundzie! i nie lepiej to było poczekać na brzegu na chłopców, a teraz Bóg wie kiedy przyjadą.

— W każdym razie byliby wypadkowi nie przeszkodzili.

— Lecz teraz przynajmniej mielibyśmy kogoś przy sobie.

— Pani się lękasz?

— Bynajmniej! Ale — dodała patrząc na młodego człowieka i biorąc go za rękę — pan jesteś taki blady, pan drżysz... Co ci jest panie Edmundzie? Może ci zimno?

— Nic... nic... chwilowy przestrach... w świetle księżyca ponoś każdy blado wygląda... zresztą i nocy już chłodne.

— Uspokój się pan, bo doprawdy przykro mi, że mimowoli naraziłam pana na tyle nieprzyjemności.

— Przeciwnie hrabino, cała ta awanturka jest bardzo oryginalną.

— Rzeczywiście... cha! cha! cha! coby też powiedział nasz kochany Dziunio, gdyby teraz, wśród tego lasu, spotkał nas samych. Jak ci się zdaje, panie Edmundzie, coby on powiedział?

— Że sprowadził nas przypadek.

— Mylisz się pan... on by powiedział że... ale otóż i nasi chłopcy, już słyszę tętent.

Wkrótce siodło było naprawione, a w pół godziny nasi znajomi zatrzymali się przed pałacem w Warnowcach.

— Spodziewam się, że pan nie odmówi filiżanki herbaty, po takiem utrudzeniu? — zapytała Hermina zsiadając z konia. — Wujaszek spi, więc nie będzie pana nudził.

— Stokrotne dzięki... muszę wracać, bo Tonia będzie niespokojną.

— Prawda... jedź pan, jedź, a zaglądnijcie do nas jak najprędzej.

Podała mu rękę — on ją uścisnął i długo w swojej zatrzymał, a gdy odjeżdżając raz jeszcze spojrzał na drzwi szklanne, przy których stał-

piękna amazonka, pół twarzą ku niemu obrócona, zdawało mu się, iż go żegna uśmiechem tak czarodziejskim, że równego we śnie nawet nie widział.

Gdyby Grześ nie jechał był z tyłu, ale obok swego pana, byłby wyraźnie słyszał następujące słowa:

— Co ona myśli?... Rzucała uwagami, które ściśle z sobą nie były powiązane... Dziwne pytania! Do czego zmierzała jej rozmowa na promie? Co to jest? Ach, jaka kobieta!

Tonia czekała na męża, który o całej przygodzie w lesie słowem nie wspomniał. Nazajutrz kilka razy chciała już zapytać Grzesia, czy nie mieli jakiego wypadku na promie, że się tak długo zabawili, lecz się przezwyciężyła, aby nie ubliżyć Edmundowi i sobie...

(C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

Antoni Prochaska.

(Ciąg dalszy).

Takby się zatem rzecz przedstawiała według wszelkich prawideł logiki — ale niestety, z boleścią wyznać musimy, że jej nie szukać u szanownego wrocławskiego profesora. Wszakże już Grünhagen a równocześnie i Zeissberg dowiedli mu, że zarzucając fałsze Długoszowi, nie ma w tem słuszności, lecz owszem, że sam popada w grube i śmieszne błędy. Pomimo to z dumą, którą trudno nam po imieniu nazwać, oświadcza Caro [1]), „że o tem co pisali Grünhagen i Zeissberg na innem miejscu wypowie swe zdanie.“ Z tych słów zdawaćby się mogło, że przytoczeni uczeni historycy, nie mają ani krzty słuszności, że atoli szanowny Dr. Caro ociąga się z odpowiedzią na przyszłość, bo nie ma na jej umieszczenie obecnie miejsca. Ba! minęło lat kilka, a w roku 1875 wydając drugi tom „Liber Cancellariae,“ miał nawet do odpowiedzi dość miejsca, a jeszcze więcej sposobności — jednakowoż i tu nie odpowiedział. Co atoli wcale mu nie przeszkadzało wskazać w tej właśnie książce na niektóre miejsca, iż one to właśnie wykazują jak na dłoni prawdę o stanowisku królowej względem Krzyżaków (a więc o teutonizującem jej usposobieniu), na co on w historji swej zwrócił już uwagę. Wszelako to zdanie ze stanowczością godną lepszej sprawy wyrzeczone, nie wystarcza nawet Carze za odpowiedź na poczynione mu zarzuty. Na każdy li sposób chciałby on wyjść zwycięsko z walki, chociażby nawet lisiego miał użyć podstępu. Lisi ten podstęp objawia się dobitnie w następującem zdaniu [2]).

„O rozmaitych innych zaczepkach i nagabywaniach — mówi on — jakie spotkały moje przedstawienie rzeczy (o Elżbiecie) niewarto nawet mówić. Lecz nawet i Zeissberg przedstawia rzecz tak, jakobym ja w mojem przedstawieniu podziałem na stronnictwa „suchemu materjałowi“ „szczególniejszy nadawał urok“ — i jakoby to właśnie, iż pojedyncze osoby przydzielam do stronnictw — tylko mem przypuszczeniem było. O sposobie myślenia Elżbiety mamy dość dowodów w królewieckiem archiwum.“

[1]) Ustęp ten brzmi u Dra Cary tak: „Inzwischen haben Zeissberg und Grünhagen Abhandlungen über diesen Gegenstand veröffentlicht, über welche ich an einem anderen Orte mich äussern werde. Liber Cancellariae. Tom I. str. 59. Uw. 1. (Wiedeń 1871.)

[2]) Liber Cancellariae II. str. 142. uwaga 1.

Ze zwycięską niby chorągwią w ręku, opiera się Dr. Caro o królewieckie archiwum. Potrudzimy się przeto za nim do tych ciekawych zabytków przeszłości, a może i my coś stamtąd skorzystamy.

Przypominamy, że hipotezą Cara, z której jak widzieliśmy fałszywe wysnuł wioski, jest zdanie, iż Elżbieta należała do stronnictwa „niemczącego w Polsce“ (teutonisierende Partei), i że to miało być, według tej hipotezy, głównym powodem, dlaczego Elżbieta była niecierpianą w Polsce.

Fakt, na którym Caro buduje swe przypuszczenia, zaczerpnięty jest rzeczywiście z archiwum królewieckiego; pytanie tylko zachodzi, czy może on służyć za dowód do tak śmiałej a rzeczywiście nowej, nieznanej dotychczas hipotezy.

Z kilku z końca r. 1417 współczesnych listów znajdujących się w rzeczonem archiwum [1]) dowiadujemy się, że gdy mściwa za krzywdy krzyżackie szlachta Wielkopolska, w odwet za ubiegłe lata, rabowała kupców krzyżackich, ujęła się za pokrzywdzonymi królowa Elżbieta. Na jej prośby uwolnił król Jagiełło w niewolę zabranych kupców Wielkiemu Mistrzowi. Królowa dążyła nawet do pokoju Polski z Zakonem, a Mazowszanie i Kujawianie, wiedząc o tem, przejmowali listy jej pisane do Mistrza Zakonu, a posłańców z listami wrzucali do ciemnic.

Fakta te potwierdzają niechęć Wielkopolan do królowej. Widoczną jest ta niechęć w stosunkach Mazowszan i Kujawian z królową, a to dlatego, ponieważ królowa była przychylną Krzyżakom, oni zaś ich wrogami. Czyż atoli z powyższego faktu możemy się choćby nawet domyślać, że w Polsce było całe stronnictwo — uorganizowana partja „teutonizujących,“ że do tej partji należała Elżbieta i że ona dlatego właśnie miała wrogów w partji przeciwnej? Do takich domysłów na powyższym tylko fakcie opartych, potrzeba mieć chyba bujną wyobraźnię Dra Caro. Fakt powyżej przytoczony do potwierdzenia hipotezy Carowej służyć nie może, szukajmy go za nim gdzieindziej.

Drugi fakt, na mocy którego buduje Dr. Caro swoją hipotezę, znajdujemy opisany we współczesnym liście jakiegoś nieznanego księcia do swego ojca [2]). Wydał go sam autor hipotezy i nadał mu prawdopodobną datę: pod koniec czerwca 1419 roku. Szczegóły w tym liście zawarte są ciekawe, dlatego też opowiemy kolej wypadków, w pośród jakich dokument ten był napisany; będziemy wreszcie szukać w treści jego Carowej hipotezy.

Stosunki pomiędzy Polską a Krzyżakami stawały się podówczas coraz groźniejsze. Na soborze konstancjeńskim wytoczyła się sporna sprawa polsko-krzyżacka, a rozjątrzyła ona jeszcze bardziej wrogie strony. I zjazdy, do jakich się podówczas uciekano, nic nie pomagały, to też nie dziwota, że i Wieluński (r. 1418) spełzł bezowocnie. Zanosiło się przeto znowu na wojnę — ale papież postanowił zapobiedz wszelkim złym skutkom z tej niezgody wyniknąć mogącym. Wysyła tedy celem pogodzenia stron Jakóba Spoletańskiego i Ferdynanda Łukieskiego do Polski. Cesarz Zygmunt Luksemburczyk starał się również przez posłów, aby się zjechać z Jagiełłą, celem wspólnego rokowania w rzeczonych spornych sprawach. Posłowie papiescy roztrząsali spór w ziemiach Zakonu — a snać przekupieni przez Mistrza Wielkiego, rozstrzygnęli je na zupełną niekorzyść Polski. Wydając owe znane „litterae testimoniales,“ usprawiedliwili oni w nich Krzyżaków, a sprawę polską potępili z kretesem. Właśnie podówczas bo dnia 8. maja (1419 r.) zjechał się Jagiełło z Zygmuntem Luksemburczykiem w Koszycach [1]), gdzie zdał się na polubowny sąd jego w sprawie krzyżackiej. Luksemburczyk zaręczał mu, że ziemie Chełmińska, Pomorska, Michałowska nietylko powrócą do Polski, lecz że on sam nawet da Jagielle osobistą pomoc w wojnie przeciwko Krzyżakom i że całe Prusy będą podzielone pomiędzy obu królów. Tem tedy chętniej przystał łatwowierny nasz król na sąd polubowny Zygmunta, który na św. Michał tegoż roku miał być wydany.

[1]) Voigt. Geschichte Preusens VII. 308 i odnoszące się do tych wypadków dokumenta w uwagach.

[2]) Liber Cancellariae II. str. 139—142, No LXXXI.

Roztropni Krzyżacy, którzy byli w Koszycach, nie chcieli przystąpić do kompromisu Zygmunta, co go bardzo jątrzyło. Snać wiedzieli oni jak sprawa ich stoi w ręku posłów papieskich, nie chcieli więc przystać na wątpliwy zresztą wyrok Zygmunta i odjechali.

Wkrótce potem dowiadują się Jagiełło i Zygmunt o wydaniu owych „litterae testimoniales.“ Oczywiście, że zaprotestowali przeciwko ich prawomocności przed całym światem [2]) i postarali się nawet u papieża o unieważnienie tychże. Zanim atoli papież to uczynił, zbroją się Polacy przeciwko Krzyżakom, a Zygmunt postanowił na naleganie króla, wysłać posiłki na tę wojnę. Król zebrał już wojska i wyczekuje w Wolborzu na mające tam przybyć posiłki Zygmunta. Przybywa też Zbigniew z Brzezia i zaręcza, że król Zygmunt nieochybnie nadeszle pomoc. Wkrótce po nim zaręczają węgierscy posłowie Piotr Erka czyli Gerka, i Stefan z Brzozowic „życiem swem,“ że król Zygmunt nadeszle przyrzeczone posiłki. Sam Zygmunt — jak głosi ów list, na którym Caro buduje swą hipotezę — ma iść przez Szląsk (do Jagiełły) a książęta szląscy mają przyłączyć siły swoje do wojsk Zygmunta. Wtedy to jeszcze raz wysyła on posłów do Krzyżaków, aby się zgodzili na wyrok jego, a tym sposobem uniknęli wojny. Z Krakowa szły podówczas do Zakonu częste poselstwa, jak owe arcybiskupa Medjolańskiego wraz z posłami węgierskimi. Równocześnie słał Zygmunt ze swej strony Przymka z Opawy i hrabiego Ludwika von Oettingen. Mieli on wyraźnie oświadczyć Krzyżakom, że jeżeli nie przystaną na wyrok Zygmunta, król Zygmunt wesprze Jagiełłę dziesięcią tysiącami wojska w wojnie przeciwko Zakonowi [3]). Nie wiemy jaki skutek osiągnęło to poselstwo. Wiemy atoli z listu, który podaje Caro, że posłowie wrócili wkrótce przez Kraków do Węgier. List ten donosi nam dalej, że królowa Elżbieta nie chce widzieć posłów — a snać jest bardzo na nich rozgniewana, kiedy nawet wydatków które ponieśli w Krakowie, dwór im nie pokrył, i to na wyraźny rozkaz samej królowej [4]).

[1]) Dł. XI. 400.

[2]) Liber Cancellariae II. N. LXXXII. i następny.

[3]) Voigt. VII. 347. Uw. 2.

[4]) Liber Cancellariae II. str. 140.

*

Tylko biskupowi Medjolańskiemu miano zwrócić wydatki, jak się dorozumiewa nieznany nam autor listu. (Dok nast.)

Listy z Warszawy

Aurelego Maura.

Warszawa — Czerwiec — 1876.

Są dwa fakty, których w doniesieniu od nas zawsze na pewno spodziewać się można: reorganizacja jakiejś władzy i powstanie nowego pisma. Dziękuję wszystkim Świętym, bo nawet tym, dla których *Przegląd Katolicki* z rubrycelą krakowską nie mogą dotąd wynaleźć w kalendarzu odpowiedniego miejsca, że mi nie kazali żyć o ćwierć wieku później. Wtedy bowiem musiałbym się prawdopodobnie uczyć w gimazjum historji rządowych przemian, dokonanych w Królestwie Polskiem, i naładować niemi głowę tak obficie, że w niąby już nic więcej nie wlazło. Tymczasem dziś, chociaż owe przemiany ani na chwilę nie ustają i w niedalekiej przeszłości długi posiadają szereg, wolno mi ich nie pamiętać, bo mnie do tego żadna przemiana ustawy szkolnej nie ma siły zmusić. Ciekawym bardzo, czy powieściopisarze, którzy wyjdą u nas z pokoleń obecnie dorastających, będą również z czułością wspominać lata szkolne? A więc... jak zawsze dokonywa się u nas reorganizacja sądownicza. Nie będę wam opisywał nowego jej programu, mającego podobno kiedyś opłacić się korzyściami dla kraju, który za to dziś zbiera zwykłą kontrybucję klęsk, każdej u nas organizacji towarzyszących. Bo każda przedewszystkiem pozostawia mnóstwo ludzi i rodzin bez chleba, zmonopolizowanego dla nasłańców rossyjskich. Ponieważ przytem teraz machina sądownictwa ma być znacznie uproszczona, więc znaczna część jej kółek wyleci jako niepotrzebna. Dodajcie je do tych, które zostaną innemi zastąpione! Jest w całem tem postępowaniu, i jemu podobnych, jakieś kamienne okrucieństwo. Jakiego to potrzeba serca, ażeby kilkaset ludzi i co najmniej połowę w tej liczbie rodzin pozbawić z zimną krwią wszelkich środków utrzymania. Bo przecież wszyscy spadli z etatu, to nie dzieci ani wyrodki, które mogą rzucić się do innej karjery, wyuczyć się innej pracy, lecz ludzie dojrzali, wkolejeni do zawodu, w którym jedynie pozostać mogą. Cóż zrobi trzydziesto lub czterdziestoletni prawnik, gdy go z posady wyrugują? Przecież nie pójdzie terminować u szewca lub krawca, nie przerzuci się do zajęć pedagogicznych, nie wstąpi do handlu. Bezprzykładna obojętność pozostawia owe ofiary na ulicy, nie dając im żadnego ratunku, żadnej możności zarobkowania. Systemat tego wywłaszczania ludzi z praw do pracy tak spopularyzował się u nas, że go bez skrupułów stosują nawet instytucje prywatne. Obecnie ministerjum zażądało, ażeby cały wydział techniczny przy kolejach obsadzony był wychowańcami szkoły komunikacji w Petersburgu. Znając zależność wszystkich u nas prywatnych biur, niepodobna istotnie wymagać od nich jakiegoś stanowczego rządowi oporu. Do pewnego jednak stopnia opozycja jest możliwą, a co najmniej, możliwem jest łagodzenie surowości ministerjalnych rozporządzeń. Tymczasem nasza kolej Warszawsko-Wiedeńska spełnia je tak skwapliwie, jak gdyby to dogadzało najserdeczniejszym jej życzeniom. Jednego dnia wypędzono kilkudziesięciu techników, a wkrótce będą musieli ustąpić wszyscy, którzy petersburgskiej kwalifikacji nie mają. Pomyślcie teraz, co zrobi spadły z etatu, który wyszedł ze szkoły technicznej w Berlinie lub Paryżu, przebył kilkanaście lat przy kolei, a dziś musi szukać innej karjery. Sumienie zarządu wcale się tem nie kłopoce. Dość mu, że p. dyrektor, który skończył cztery klasy i seminarjum elementarnych nauczycieli, pobiera 7500 rsr. samej pensji, że p. Kronenberg chowa miljony, że naczelnicy robią dobre na swej gorliwości geszefta, że główny zarządca warstatów, chociaż żąda więcej niż butelki oleju do oznaczenia ciężaru gatunkowego ma grubą płacę itd., co się stanie z panami A. B. C.. X., gdy z miejsc swych zostaną wyrzuceni — to rzecz drobna, niewarta długiego namysłu. Kiedy zmieniano Warszawską Szkołę główną na cesarski Uniwersytet, pozostawiono profesorom Polakom przynajmniej możność ratowania swych pozycyj. Sądzę więc, że i kolej Warszawsko-Wiedeńska, gdyby troszeczkę dbała o swych ludzi, mogłaby u ministerjum wyjednać ograniczenie nakazu dla tych, którzy już w służbie pozostają. Ale Jej kolejowa Mość nie ma czasu na takie drobiazgi.

Przypatrując się niezmordowanej i ciągłej pracy rządu nad uciśnieniem nas i wynarodowieniem, niepodobna pojąć, zkąd można poczerpnąć tyle prześladowczej siły, tyle nienawiści do ujarzmionego narodu. Czy systemat ten nie przerachuje się — wątpimy. Bo pomimo wszystkich środków ucisku i russyfikacji, nie przestajemy być i nie przestaniemy rozwijać się w kierunku narodowym. Jeżeli więc odtrącimy zysk grabieży, jaką prawosławie zbogacić się u nas może, nie pozostanie w rezultacie rządowi żadna inna korzyść, jak coraz bardziej potęgująca się nienawiść. Taka polityka, jaka nas dziś gnębi, jest polityką ślepoty. Rossji nic a nic nie zabezpiecza od prędszego lub późniejszego starcia z mocarstwami sąsiedniemi; na wypadek zaś tego starcia, sympatje Polaków będą zawsze po stronie jej nieprzyjaciela. Rozumowania proste: lepsza jakakolwiek nadzieja, niż pozbawiona wszelkiej nadziei niedola. Gdyby Rossja nie potrzebowała się liczyć z nienawiścią Polaków, jej ruchy w Europie byłyby dwakroć swobodniejsze.

Jak powiedziałem, zmiany w organizacji kraju i powstawanie nowych pism — to u nas zwykłe, konieczne i raz na zawsze obstalowane nowiny. I ostatnie nie nabawią nas szaleństwa radości. Rozmnożona prasa w społeczeństwach wysoko wykształconych jest wyrazem ich intelligencji dodatnim, ale w takich jak nasze — po części ujemnym. Bo wszystkie umysłowe siły kraju rozpraszają się w pracy drobnej, nikłej, ginącej wraz z potokiem, który je porywa i przepada. Rzadko kto myśli o badaniach lub utworach głębszych i większych, gust publiczności tak zmarniał, że odtrąca każdą lekturę poważniejszą i szerzej rozwiniętą. Zaznaczyć bowiem wypada, że w wypadku tym spotkały się dwie fatalne konieczności. Z jednej strony następstwa wypadków 1863 r. zacieśniające nieczynną, bo wypartą ze wszystkich kierunków publicznego życia intelligencję do jedynie jej otwartego dziennikarskiego pola, z drugiej potrzeby wskazujące narodowi potrzebę wzmocnienia sił umysłowych, stworzyły szybko ten dotychczas trwający stosunek, że wszystkie strumienie piśmiennictwa spłynęły do prasy, która stała się wyłącznem niemal źródłem powszechnego czytelnictwa. Gdyby na jej rozbudzoną w społeczeństwie chęć literatura mogła tylko odpowiedzieć książkami, nie króciutkiemi artykułami i gazetkami, moglibyśmy dziś rachować już korzyści bardzo szczęśliwego zwrotu. Tymczasem mamy tylko ocean pism i nic więcej. Ogół poleruje się lekką ogładą, ale nie nabiera gruntowniejszej wiedzy, autorowie udoskonalają sobie zręczność frazowania, ale nauki nie podnoszą. Wypadki uwikłały nas w dziwne położenie, w którem nikt nie może odkryć wyjścia. Księgarze skarżą się na zupełny niedostatek prac poważnych, piszący — na niemożność ich zbytu. Jedni i drudzy motywują swe narzekania tymże samym argumentem: małem zapotrzebowaniem. Tamci nie mają komu sprzedać rękopisów, ci — wydawnictw. Więc cała wina idzie na rachunek publiczności. Ale czyż i ona winna? Jak może kupować książki, których jej czytać nie nauczono, zwłaszcza, że ma podostatkiem lekkiej dziennikarskiej strawy? Wniosek tej sytuacji prosty: wtedy dopiero ogół będzie poważne publikacje nabywał, a autorowie będą je pisali, gdy instytucje obie strony do tego przygotują. Ponieważ zaś nasze instytuje działają w kierunku wprost przeciwnym, więc...

Z tej to właśnie potrzeby pogłębienia myśli ogólnej zrodziło się *Ateneum*. *Bibljoteka Warszawska* wiernie strzegąc antykwarjuszowskiego programu naszych pism naukowych, nie odpowiadała nowonatchnionym wymaganiom. Opracowywano archeologję, czekano z każdym świeżym faktem, dopóki się nie odleżał, tłumiono swobodniejsze tętna myśli — co powstrzymywało ten organ od rozejścia się pomiędzy szersze koła i nie zadowolało opanowanych. Nieujętą nić przewodnictwa postanowiło chwycić *Ateneum*, opatrzone znaczną siłą środków materjalnych. Niestety jednakże zaraz okazał się brak zdolnych do współpracownictwa sił. Ten i ów zdobył się na niezłe sprawozdanie, pozyskano nawet kilka artykułów (np. Jarochowskiego), rzeczywistej naukowej wartości, ale całość wyszła i postępuje kulawo. Bo cóż powiedzieć o piśmie naukowem, mającem odzwierciadlać w sobie cały ruch umysłowy cywilizowanego świata, które oprócz Polski żadnej innej dzielnicy tego świata nie ukazuje. Francja, Anglja, Niemcy nie mają w *Ateneum* żadnych stałych konsulatów. Jest tylko jeden wzgląd, który miesięcznikowi temu daje stanowczą przewagę nad współzawodniczką, i który go zawsze uratuje. Mam na myśli jego liberalizm. *Ateneum* stałego kierunku nie ma, niezależnej flagi nie wywiesiło, ale pozwala u siebie wyrażać się opiniom śmiałym. Wnieść o tem można nie tyle z niepodległych wystąpień filozoficznych, bo te jeszcze słabo się ujawniły, ale z opublikowania jednego zwłaszcza artykułu, przeciwstawiającego się mniemaniom ogólnym. Ksiądz Krupiński wypowiedział wojnę romantyzmowi naszej literatury. Nie ulega wątpliwości,, że wystrzelał wiele nabojów ślepych, rzucił wiele bomb nierozważnych, ale sam fakt ogłoszenia jego filipiki przekonał o wielkiej (u nas) odwadze pisma. Najlepszym tego dowodem krzyki jakie się na wszystkich punktach prasy przeciwko autorowi podniosły: a jakkolwiek w tych krzykach było dużo słuszności, smutniejszym są one znakiem dla swobody naszej myśli, niż artykuł ks. K. dla literatury. Bądźcobądź, chociaż *Ateneum* nie dorównywa dziś ani pokrewnym publikacjom angielskim, ani francuskim lub rossyjskim, ma dwa bardzo ważne środki, przy pomocy których kiedyś dorównać im może: mianowicie materjalną podstawę i umysłową niepodległość.

(Dok. nast.)

Kronika paryska.

(Ciąg dalszy.)

Paryż — Maj 1876.

Jak się Francja obznajamia z innemi narodowościami? P. A. Bougeault wydał „Historję literatur obcych“ nakładem księgarza Plon. Dzieło to aż trzy spore obejmuje tomy. W tomie drugim znajdujemy księgę pn. „Historja literatur Słowiańskich“ a w niej cztery rozdziały Polsce poświęcone.

Zrozumiecie łatwo, żeśmy te najpierwiej przeczytali, i że z wyniesionem o nich pojęciem, co żywo z wami się dzielimy.

Epoka przedrozbiorowa jest w nich traktowaną z większą bez porównania staranuością, głębszą znajomością rzeczy, z szerszym a sprawiedliwszym na wszystko poglądem. Uczucie dumy i żałości zarazem ogarnia serce czytającego Polaka przed wspaniałym obrazem Zygmuntowskiego wieku, dłonią cudzoziemca kreślonym. Akademja krakowska przodowała wtedy europejskiej oświacie i we wszystkich gałęziach wiedzy była przez słynnych reprezentowana mistrzów. Oto niektórzy: Grzegorz z Sanoka na dwa wieki przed Bakonem propagował metodę analityczną; Jan Głogowczyk był istotnym wynalazcą Frenologji a Ciołek (Vitelius) praw optyki i odbijania się światła; Marcin Olkuski reformował kalendarz, Hozjusza przezwano wielkim kardynałem (Grand Cardinal); nareszcie mieliśmy Kopernika. Polacy byli także pionierami sztuki drukarskiej w całej Europie. Jeden z nich Hencki zakładający pierwszą drukarnię w Wiedniu, drugi imieniem Adam w Neapolu, trzeci nakoniec Stanisław (nazwiska zaginęły) w Sewilli, i cała plejada poetów, mowców, kronikarzy, z których nie jeden wychodzi korzystnie na porównaniu go z współczesnemi innych narodów sławami, oto rzeczy które Polak czyta z przyjemnością i za których sumienne uznanie i skreślenie hołd się od niego należy autorowi.

Nie wiemy czemu przypisać ominięcie przy wyliczeniu poetów Klonowicza i Kaspra Miaskowskiego, a między historykami i prawoznawcami Herburta. W epoce stanisławowskiej nie znajdujemy znowu ani Molskiego, ani Węgierskiego, którzy przecie wybitne w literaturze zajmywali stanowiska. Ha! Trudno być zbyt wymagającym.

Epoka porozbiorowa jest za to traktowana z niedbałością niepodobną do przebaczenia. Jej wykładowi musimy wszystko zarzucić: i brak porządku, i przekręcenie nazwisk, i fałszywe nieraz poglądy. Co temu winą, czy niedobór materjałów czy złe chęci, czy tylko lekkość? Trudne do rozwiązania pytanie. Rola uniwersytetu Wileńskiego, imiona w nim dwóch Śniadeckich i Lelewela zupełnem pominięte milczeniem. W wykazie działalności literackiej Mickiewicza nic o *Panu Tadeuszu*, istotnem mistrza tego arcy-

dziele. Słowacki (!) pobieżnem tylko potrącony wspomnieniem. Ze współczesnych, z żyjących, wzmianka ledwie o Bohdanie Zalewskim, o Kraszewskim i o Zygmuncie Kaczkowskim, o ostatnim jako o pisarzu dramatycznym (?!) Ani słowa o Syrokomli, o Lenartowiczu, o Ujejskim, o Szajnosze! Ocenienia niektórych nader zabawne. I tak Massalski figuruje z epitetem „uszczypliwy“ (mordant); Koźmian „wzniosły“ (élevé); Wężyk, który się pisze „*Wenzijg*“, autor tragedji *Gliński i Barbara*, „natchniony“ (inspiré) itd. itd. Takich i tym podobnych błędów w określeniu współczesnej naszej literatury co niemiara. Pisał je autor widocznie na oślep, Bóg wie jakiemi posługując się materjałami, chyba że ustnem opowiadaniem jakiegoś niezbyt oczytanego emigranta. Szkoda, bo jakeśmy to już rzekli, trzy pierwsze rozdziały bez porównania lepiej opracowane i z wyjątkiem kilku wyżej wytkniętych opuszczeń, dokładne, na udatniejsze zasługiwały zakończenie. Cóż robić? W każdym razie, o ile nam wiadomo, pierwsza to tego rodzaju przez Francuza dokonana praca. To może zachęci, pobudzi, wytknie innym drogę. Dzieła dokładne i należycie wyczerpujące kwestję rzadko kiedy (można powiedzieć że nigdy) jawią się od razu. Zazwyczaj poprzedza je tłum mniej więcej słabych, a błędnych kompilacyj. Jako tako traktowany utwór p. A. Bougeault nie jest bez pewnej, względnej przynajmniej wartości. A zresztą uderzmy się w piersi. Mamyż my w naszym języku dzieło jakąkolwiek obcą, choćby francuską, wyczerpujące literaturę, i nic do życzenia pod względem informacji i pod względem krytycznych nie zostawiające poglądów? Nie żądajmy zatem od innych tego, czego im dać nie możemy, lub czegobyśmy im przynajmniej dotąd nie dali. Poczucie solidarności między narodami to płód ostatnich dopiero czasów, wczorajszej zaledwie epoki. Niezbyt dawno jeszcze każdy z nich jak ślimak w własnej zasklepiał się skorupie, nie chcąc wiedzieć o tem co dzieje się za ścianą. Łuski spadły dziś nam z oczów i poczuliśmy się dziećmi jednej wielkiej europejskiej rodziny. Dziś więcej wiemy o życiu i literaturze Chin lub Japonji, niżeliśmy przed wiekiem o życiu lub literaturze ościennych wiedzieli narodów. I nie my jedni. Francja dotykając prawie Anglji dopiero się wiek temu od Voltaire'a, dowiedziała o jenjuszu Szekspira. I to jeszcze „Filozof Fernejski“ rodakom swoim o „barbarzyńcy północnym“ mówił z pewnym kłopotem (!!) Pierwsze koty za płoty, powiada przysłowie. Któż w jąkaniach niemowlęcia odgadnie późniejsze jego oratorskie zdolności! Dzieło p. A. Bougeault to a, b, c, z wielkim wyniańczone trudem. Miejmy nadzieję że po nim inny jakiś bardziej oświadomiony z rzeczą pracownik, gładsze o literaturze naszej wygłosi sprawozdanie. Obyśmy ich wyprzedzili w tym względzie! (Dok. n.)

POGADANKI.

XXVI.

Żyjemy w czasach pełnych dramatyczności; jedni tylko poeci lwowscy mogą twierdzić, że materjalizm stulecia pozbawił świat dawniejszego, poetycznego uroku, że zamiast namiętności porusza go zimna rachuba, i że to co się na nim dzieje, nie ma olbrzymich rozmiarów i tła z potężnych idei, zastępujących nadprzyrodzone czynniki klasycznej starożytności. Niejeden numer pisma politycznego czyta się dzisiaj jak sprawozdanie z przedstawienia tragedji, w której nietylko krwawe czyny aktorów, ale i sprężyny widomie lub niewidomie ich poruszające, budzą zajęcie i grozę w widzach. Jak zawsze w podobnych razach, tak i teraz niestety sprawdza się niemoc słowa wobec rzeczywistości. Nie było jeszcze wypadku, ażeby poeta zdołał oddać wiernie i potężnie współczesne mu wypadki w dramacie lub w epopei, krótki chyba liryczny utwór stanąć może czasem na wysokości tego zadania. Prawdziwi poeci nie kusili się też nigdy o traktowanie przedmiotów współczesnych, brali oni osnowę do dzieł swoich z przeszłości, i mimo woli ich tylko, duch ich czasu i myśli, cechujące go, odbijały się w ich utworach. Obok poezji powstała wszakże od niedawna spekulacja poetycką, usiłująca stenografować historję współczesną w chwili, kiedy jeszcze telegraf zajęty jest jej opowiadaniem. Takiej spekulacji dziełem jest między innemi „Powstanie w Hercogowinie“, które przez dwa wieczory zapełniło salę tymczasowego teatru letniego przy ulicy Jagiellońskiej. Autor nie czekał, czyli bohaterowie jego za parę baranów nie wyrzekną się pięknych frazesów, które im wkłada w usta, nie badał, czy świadomie nie są narzędziami intrygi, na której poznawać im się każe, ale wziął ich żywcem z wąwozów u granicy czarnogórskiej, oczyścił z fizycznych niepiękności obozowych i z moralnej niepiękności, jaką jest zwyczaj obcinania nosów i uszu pojmanym nieprzyjaciołom, i tak wszechstronnie umytych zrobił przedmiotem podziwu i uwielbienia ogródkowej publiczności. Znaleźli się wszakże i krytycy, których zdaniem tak niedołężnie sklejone dziwadło ma być „wcale dobrą sztuką ludową“. Trudno pojąć, jak może być dobrem dla ludu szerzenie fałszywych pojęć o rzeczach nie będących bez związku z jego własnemi sprawami. Na szczęście, ramoty tego rodzaju nie mogą utrzymać się długo na deskach teatralnych.

* * *

W liryce, jak powiedziałem, odbijają się nieraz zdarzenia współczesne w sposób wierny i potężny. Nowym tego dowodem jest wiersz na śmierć George Sand, wydrukowany w odcinku *Gazety Narodowej*, Autor chciał dać do poznania, że z bolu po śmierci znakomitej autorki — oszalał, i to oszalał najszaleńszym szałem szalonego szaleństwa. W 72 wierszach udało mu się to nad podziw wszelki. Z głębi ducha jego

„wyje bolu lew,
Skargą rozpaczy n i e m ą wstrząsa dom!“

Ten lew atoli ryczący, a niemy, pełnym jest tolerancji dla bydląt mniej królewskiego rodu, powiada bowiem dalej do zmarłej autorki:

Ach, ty, i Byron, i ton Beethovena,
To mojej myśli piastuny ponure,
Rytm dzwonu w dali... za chmurę, za chmurę!
Niech tu d z i e d z i c z y s w e c m e n t a r z e h j e n a!

Nadaremnie wszakże kuszę się o wybranie największych piękności z tego potężnego utworu; właściwie powinienbym powtórzyć go tu w całości, a nie śmiem uczynić tego bez pozwolenia opiekunów autora — znajdującego się niezawodnie w kurateli, bo kto tak dobrze umie udawać pomięszanie zmysłów, ten z pewnością wprowadził już w błąd rodzinę i sądy co do swojej poczytalności... Niechaj więc każdy sam zaglądnie do *Gazety*, i dowie się, jak „poranne morze s ł u c h e m bada nowych dziejów tory,“ i jakie inne jeszcze cuda Sand, Byron i Beethoven ponuro wypiastowali w myśli wieszcza,

„z tą czoła żałobą,
Co będzie, dokąd będą m y ś l i k r a t y!...“

O Soterze Rozbicki, ty byłeś tylko Janem Chrzcicielem tego kraciastego mesjasza poezji *narodowej!* I wy, piewcy „Erotek“ i „Bałamutek,“ żal mi was, nowa gwiazda blask nasz zaćmiła! Nic niestety nie ma tak wielkiego na świecie, coby czemuś większemu jeszcze miejsca ustąpić nie musiało!

Za kratą myśli mej, o biada, biada!
Jakieś mi straszne przeczucie powiada,
Że kiedyś przyjdzie tak fatalna era,
I taki dopust z ramienia Jehowy,
Iż nawet mistrza bożego, Gillera,
Zaćmi z kretesem jaki Giller nowy!

* * *

Poddajmy się w niemo - wyjącem milczeniu nieodwrotnym wyrokom Opatrzności, która nieraz raczy słuchać skargi i przekleństwa maluczkich... Oto zaledwie dwa tygodnie temu, jak z głębokości „Pogadanki“ cisnąłem piorun słowa pod kopyta *Przedświtowi*, a już pobiła go *Fantasca* ks. Sanguszki na torze warszawskim. Kto wie, czy jutro nie ziści się druga połowa mojego przekleństwa, i czy *Ganimed* p. Ochockiego nie weźmie pięciuset czerwieńców z przed nozdrza odstępcy stajni narodowej? Już bowiem jutro zapaśnicy stają u *startu*, a od tygodnia ruch niezwykły na ulicach zapowiada zbliżanie się uroczystości sportu krajowego. Festyny ludowe mają na cały ten czas z góry zapewnione niepowodzenie, bo jeżeli będziemy mieli deszcz, nie przyjdą do skutku, a jeżeli będzie pogoda, pół miasta wyniesie się na janowskie błonia. Na wszelki wypadek, potrzeba zawczasu zamówić jednokonkę, i w tym celu, odłożyć pióro na dzisiaj.

Jan Lam.

Wystawa powszechna w Filadelfji.

II.

Dla przybywającego z Europy na wystawę gościa, najciekawszem bezwątpienia i najbardziej pociągającem jest zbadanie przedmiotów amerykańskich. Słyszeliśmy dotąd o Ameryce najsprzeczniejsze zdania, lecz z nich wszystkich jest jedno, na które wszyscy się zgadzają: iż przemysł rozwinął się do najwyższego stopnia, a sztuka nigdzie tak nisko nie upadła. Rzut oka na samą wystawę wystarcza już do potwierdzenia tego faktu. Architektura budynków jest dziwaczna, bez stylu, rzec można bez żadnego smaku, ale za to wygodna, praktyczna i tania. Wyborowych dzieł sztuki Amerykanie na wystawę nie dali, ale za to wystawa maszyn taka, jakiej nigdzie jeszcze nie było: ósmy cud świata! Tę paralelę wszędzie można przepowadzić.

Bezwątpienia w przemyśle zaszli Amerykanie najdalej może z żyjących narodów, więc też ta część wystawy reprezentuje ich znakomicie. Podziw i uwielbienie budzi ta energja, ta wytrwałość, z jaką naród ten musiał dążyć naprzód, żeby dójść do tego stanu. Uwzględnić należy to, że trzeba było z niczego w przeciągu stu lat stworzyć rzecz olbrzymią, to też mają prawo chełpić się swem dziełem.

Ponieważ przedewszystkiem zajmiemy się zwidzeniem wystawy przedmiotów amerykańskich, więc dla lepszego zrozumienia jej doniosłości, rzucimy oko na stan kraju przed oswobodzeniem się, na postępy uczynione w ciągu tego czasu i nareszcie na stan przemysłu obecnego, reprezentowanego na wystawie. Do historji rozwoju naukowego i przemysłowego Europy tak są wplątane wszystkie zasługi, jakie na tem polu Amerykanie ponieśli, że dzieje ich rozwoju indywidualnego rozpłynęły się w historji ogólnej. Bardzo mało kto wie o tem, co Ameryka sama przez lat sto dla nauk i przemysłu zrobiła.

Smutne było położenie trzynastu amerykańskich prowincyj w ostatnich dniach przed ogłoszeniem Deklaracji Niepodległości. Horyzont był tak pokryty czarnemi chmurami, że z nikąd prawie promyka

nadziei spodziewać się nie było można. Od roku już koloniści wystąpili byli z bronią w ręku przeciw krainie macierzystej, Anglji, i dzielnie się przez ten czas trzymali. Spodziewano się wojny na śmierć, nie z kilkoma bataljonami wysłanemi na poskromienie zbuntowanej „czerni,“ lecz z całą armją angielską, potężną, nie mającą prawie równej w świecie, zwycięską dotąd w setkach bitew. Kongres był rozdwojony, w zwątpieniu. Na szczęście Tomasz Paine ognistemi a przekonywającemi słowy wraca narodowi nadzieję, której nikt dotąd nie śmiał wypowiedzieć. Słowa jego obiegają w oka mgnieniu kraj cały, zaszczepiają się w narodzie i nie długo trzeba było czekać, żeby wojna którą naród wypowiedział tylko tyranji i ślepemu, szalonemu bez celu uciskowi, zamieniła się na wojnę przeciw Anglji jako państwu, a nie przeciwko jej urzędnikom. Deklaracja kongresu zamieniła w jednej chwili zwykły bunt przeciw nadużyciom władzy na jedną z największych i najświetniejszych wojen na świecie.

Przemysłowe stosunki kraju były w tych czasach okropne i Anglja przeszkadzała o ile mogła postępowi przemysłu, który też w skutek tego stał na nadzwyczaj niskim stopniu rozwoju. Fabryki wyrobów ze stali i żelaza, pracownie wełny, lnu itp., nie istniały wcale; nie było to na rękę zamorskim fabrykantom. Próbowano założyć odlewnie żelaza, a w Nowej Anglji fabryki kapeluszy, lecz parlament angielski uznał je za szkodliwe „a nuisance“ i przyprowadził je do upadku. Trzeba było wszystkie wyroby przemysłu sprowadzać z Anglji, a dawać na ten cel surowe żelazo. Pieniądze za wyrób przechodziły za morze. Pozostałemi źródłami zarobku było rolnictwo, polowanie, rybołóstwo itp. Na tak słabych podstawach musiały budować przyszłe pokolenia, z tak nic prawie nie znaczących początków urósł w lat sto przemysł Ameryki Nowej, obecnie prawie niezrównany, którego wszystkie gałęzie widzimy na wystawie. To też Ameryka z dumą patrzy na swoją wystawę, bo to na co inni potrzebowali wielu stuleci, oni w tak niewielu latach dokonali.

W tych czasach przeddeklaracyjnych największą istniejącą fabryką była huta szklanna barona Stiegla, która dziwacznie była prowadzona z powodu feudalnych pojęć właściciela. Baron przypominając dawne czasy budował zamki, zataczał działa na wały, które go salutowały, gdy przyjeżdżał lub też odjeżdżał, lub gdy się goście pojawiali. Robotnicy musieli wtedy odchodzić od kotłów i pieców, i witać przybywającego z muzyką i oznakami radości. Wojna przerwała nić żywota i tej fabryki, odcinając baronowi źródła pieniężne z Europy.

W całym kraju były tylko dwie maszyny parowe systemu Newcomena: jedna w dystylarni filadelfijskiej, druga w kopalniach miedzi w Passaic, w stanie New Jersey. Warstaty okrętowe istniały tylko w Nowej Anglji, a fabryki cegieł w niektórych miejscach całego kraju. Nie znano ani maszyn rolniczych, ani też młynów do bawełny, a na zachód od gór Alleghanów nie było żadnej prasy drukarskiej; w całym kraju było zaledwie 40 maszyn najpodlejszego wyrobu. Porozumiewano się za pomocą 37 dzienników, podczas kiedy dziś każde miasteczko o dwóch tysiącach mieszkańców ma już przynajmniej swoje pismo tygodniowe. Komunikacje były okropne, a podczas zimy mieszkańcy części zachodniej byli zupełnie izolowani od ogniska życia, od wschodu. Położenie kraju było prawie bez wyjścia.

Dnia 10. maja 1776, którego rocznicę obchodzono otwarciem wystawy tegorocznej, obywatele amerykańscy otoczeni ze wszech stron nieprzyjacielem, zagrożeni zupełnem bankructwem i upadkiem przemysłu, zagrożeni powstaniem dzikich Indjan, spodziewając się zniszczenia wielkich miast przymorskich przez Anglików, ogłosili niepodległość i oto narodził się nowy a potężny naród!

Rzućmy okiem na sposoby, jakiemi przez lat sto dorabiał się obecnego stanowiska. Nie będziemy się wdawali w szczegóły, lecz wyliczymy tylko i zwrócimy uwagę na fakty, które wpłynęły na rozwój kraju, i na danie mu jednego z pierwszych stanowisk w świecie cywilizowanym.

Pierwszym ważniejszym przyczynkiem Nowego Świata do postępu nauk były odkrycia Franklina, który wykazał jeszcze w r. 1752, że iskra elektryczna a błyskawica to jedno i to samo. W roku 1775 opuścił ten uczony Anglję, gdzie był ogromnie szanowanym, by wrócić do kraju i oddać się na jego usługi. Praca, którą miał jako członek kongresu, nie przeszkadzała mu w badaniach naukowych, i kiedy został wysłany do Paryża, to w drodze robił obserwacje nad Gulf-stream'em.

Obok Franklina może być postawiony Dawid Rittenhouse, prezydent towarzystwa filozoficznego amerykańskiego, który głównie zajmował się zegarmistrzostwem i którego planetarja, przyrządy pokazujące ruch ciał niebieskich, są nieporównane. Rittenhouse robił w r. 1769 obserwację dokładną przejścia Wenery przez słońce, i za swe zasługi na polu nauk matematycznych, został wybrany członkiem londyńskiego królewskiego Towarzystwa nauk.

Po ogłoszeniu pokoju, stan Stanów Zjednoczonych był okropny: kompletna ruina pieniężna i przemysłowa. Lecz na szczęście naród, jakby jednym duchem ożywiony, rzucił się do pracy, każdy prawie dom familijny stał się warstatem, i koła maszyn zawarczały w całym kraju.

W r. 1785 Evans z Filadelfji zastosowuje maszynę parową do druzgotania i krajania kamieni, i pierwszy buduje maszynę o wysokiem ciśnieniu. Perkins wynajduje maszynę, która wyrabia 200.000 ćwieków na dzień. 31. lipca 1790 zostaje wydany pierwszy amerykański patent na wynalazek; wprowadzenie tego rodzaju monopolu, wywołuje ogromny ruch wynalazczy.

Tymczasem przemysł bawełniany, główna podstawa bogactwa amerykańskiego, rozwija się ogromnie, lecz na drodze dalszego rozwoju staje mu niezwyciężona na pierwszy rzut oka przeszkoda: czyszczenie ręczne bawełny jest za powolne i za drogie. Zdarzyło się, że biedny student amerykański Eli Whitney znalazł się w domu pani Green. Młodzieniec okazywał ogromne zdolności wynalazcze, i kiedy kilku oficerów, gości pani jenerałowej, wyrażali się przy nim z ubolewaniem, że nie ma wyż wzmiankowanej maszyny, pani Green żartobliwie powiedziała Whitneyowi, żeby ją wynalazł. Elemu utkwiły te słowa w pamięci. Nigdy bawełny nie widział, więc pojechał do Savannah, dostał próbki i zamknął się w swym pokoju. Po dziesięciu dniach próbowania, zrobił model, który na dzień oczyszczał 50 funtów bawełny. Wynalazca szczęśliwy doczekał czasu, że produkcja tego bogactwa amerykańskiego urosła z 5 na 215 miljonów funtów!

W roku 1796 Thompson, przebywający w Monachium robi odkrycie, że ciepło nie jest materjalne, odkrycie, które stało się podstawą całej fizyki dzisiejszej. Wynalazki mniejsze następują jeden po drugim, i na początku bieżącego stulecia, Ameryka może się już pochwalić znakomitym postępem. W następnych latach Dr. Hare z Filadelfji wynajduje dmuchawkę tlenowodorową, pułkownik John Stevens wykazuje praktyczność śruby do poruszania okrętów. W roku 1807 znakomity Fulton odbywa podróż tryumfalną na swym statku parowym i w 7 lat później buduje pierwszy parowy statek wojenny, a w roku 1819 już para przenosić zaczyna okręty przez Atlantyk.

Tymczasem w skutek zawichrzeń czasów Napoleońskich w Europie, handel amerykański upadł znacznie. Ludność urosła do r. 1820 do $9^1/_2$ miljonów.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Atlas do historji powszechnej konia, Marjana hr. Czapskiego, przedstawiający w LXXV tablicach typy koni rozmaitych krajów i wszystkiego, co od najdawniejszych czasów tego przedmiotu dotyczy, ozdobiony portretem M. hr. Czapskiego, na miedzi rytym przez Marjana Jaroczyńskiego, wydała księgarnia Jana Konstantego Żupańskiego z rysunków własnoręcznych M. hr. Czapskiego. Poznań 1876.

O dziele hr. Czapskiego p. t. „Historja konia,“ umieściliśmy swego czasu obszerną recenzję pióra J. I. Kraszewskiego; dziś powtarzamy, co znakomity ten autor pisze o atlasie uzupełniającym to dzieło.

„Wspaniałe dzieło niedawno zmarłego pracownika, który znaczną część życia poświęcił na jego dokonanie — dopełnione zostało niezbędnemi do niego ilustracjami. Atlas ten za granicą pewnie przez hipologów lepiej zostanie oceniony niż u nas, gdzie wszystkie miłości tak ostygły, że nawet owa miłość dla koni, na którą się Skarga uskarżał, niemal wygasła. Któżby to był przed niedawnym czasem przewidywał, że szlachcic się z koniem rozbrata? A no dziś rozbrataliśmy się z tylu tradycjami, że się temu dziwić nie można. Nadzwyczaj bogatym jest ten atlas Czapskiego, a nie mówiąc już o wielkiej rozmaitości typów, których część z natury rysowana i wcale dotąd była nieznaną (konie ruskie), sama część starożytnicza jest znakomitą. Dla archeologów nieoszacowany to zbiór, bo nie przekopiowany niewolniczo z żadnego innego, ale mozolnie zgromadzony własnemi poszukiwaniami. Począwszy od głów końskich, na kości rysowanych, z czasów przedhistorycznych (pieczary w Bruniquel i la Madelaine), od chińskiego konia w bojowym rynsztunku, co za bogactwo świadectw pomnikowych o koniach i zaprzęgach! Wóz i zaprzęg indyjski, konie z czasów panowania XIX. dynastji w Egipcie, koń z Karnak (ściana pałacu) centaury, amazonki konne, typy z monet greckich, zaprzęgi z monumentów rzymskich, z waz dawnych, z płaskorzeźb perskich i asyryjskich, z fryzów Parthenonu, kolumny Trajana itd. Zdaje się, że Czapski wyczerpał całkowicie i z prawdziwem zamiłowaniem przedmiotu wszystko, co się tylko dotąd dało gdzie znaleźć odnoszącego się do koni. Że rysunki te wybornie i bardzo starannie wykonane, stokroć są więcej mówiące nad najtroskliwsze opisy — tego dowodzić nie potrzeba. Mnóstwo szczegółów na płaskorzeźbach dowodzi, jak dalece wcześnie rozwinięte były i zastosowane przybory do konia, które się nam stosunkowo nowożytnemi wydają. — Posiadacze dzieła o koniu na żaden sposób nie mogą się obyć bez tego atlasu, stanowiącego integralną część dzieła. Autor pragnął z razu, aby te ilustracje weszły jako drzeworyty do wydania samego, niezmierny koszt tylko zmusił go do odstąpienia od pierwotnego pomysłu. Jeżeli, o czem nie wątpimy, dzieło to na inne języki przełożonem zostanie, wydawcy londyńscy lub paryscy, mogący liczyć na daleko większe rozpowszechnienie, kosztu na ilustracje nie pożałują. U nas rozbija się wszystko o nie wielką ilość kupujących, która najczęściej kosztów wydania pokryć nie może. Tem większą też winniśmy wdzięczność nakładcy, z bezprzykładnym stoicyzmem podejmującemu takie dzieła, jak „Historja konia,“ bo lata długie oczekiwać będzie musiał, nim mu się spłaci jego ofiarność, a dziełem tem pochlubić się możemy. W żadnym języku europejskim nic w tym przedmiocie dającego się z pracą Marjana Czapskiego porównać — nie znamy“.

Nowości

podawane przez księgarnię

Seyfarta i Czajkowskiego

we Lwowie.

Choroby Galicji, w latach od 1867 — 1876 podpatrzone i opowiedziane przez holenderskiego Dukata. Zeszyt I i II. Cena zeszytu 50 cnt.

Gorzkowski Marjan. — Dominikanie za Dnieprem. Szkic historyczny. Przyczynek do missji OO. Dominikanów na Rusi. w 8ce, str. 32. Kraków 1876. 30 ct.

Guszkiewicz, ks. Jan. — Czasomiar. w 8ce dużej str. 82 Kraków 1876. 60 ct.

Krasiński Sigismond. — L'aube d Grand jour. Traduit du polonais. Przedświt. Poëme. (Poëtes illustres de la Pologne au XIXe siècle.) 12. str. 108. — Paris. 1876. Złr. 1.50 ct.

Laugel August. — Głos, ucho i muzyka. Rozprawa przetłumaczona i uzupełniona przez Felicję Bakszewicz. w 8ce str. 148. Kraków. 1876. Złr. 1.26 ct.

Święty Alfons Ligauri. — O modlitwie myślnej czyli medytacji. Przekład i list wstępny O. Prokopa Kapucyna, w 32. str. 159. Kraków. 1876. 50 cnt.

Łoś Wincenty. — Wizerunki króla Stanisława Augusta. Przyczynek do dziejów sztuki w Polsce z portretem w 8ce dużej. str. 46. Kraków. 1876. Złr. 1. 50 cnt.

Müller Otto. — Rechtsbeistand für den österreichisch-ungarischen Staatsbürger. Populäre Darstellung des östereichischen und ungarischen Privatrechtes und Civilprocesses. 8. Wien. 1876. Złr. 1. 50 cnt.

Weber, M. M. Freih. von. — Die Praxis der Sicherung des Eisenbahnbetriebes. 8. Wien. 1876. Złr. 1. 25 cnt.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka.

— Wielkie wrażenie robi w Rzymie obraz polskiego artysty, p. Siemiradzkiego. Napis jego *Świeczniki Nerona*. *Opinione* tak się o nim wyraża: „Zabijano ich robiąc sobie z tego igraszkę... pozapalano ich jak pochodnie, aby przyświecały w nocy, na które to widowisko Neron pozwolił swoich ogrodów.“ Tak pisze Tacyt w swoich *Annalach*, gdzie mówi o tych chrześcijańskich męczennikach. Z tej krótkiej wzmianki owoczesnego historyka, wziął natchnienie p. Henryk Siemiradzki do przecudnego obrazu. P. Siemiradzki, młody Polak, jest już znamienitym malarzem, który uczył się w akademji Petersburgskiej, atoli od kilku lat przebywa w Rzymie. Przed dwoma laty wykonał on był obraz: *Jawnogrzesznicy* podług jakiejś chrześcijańsko-słowiańskiej legendy, kupiony przez W. ks. następcę tronu rossyjskiego. Przedmiotem tego utworu była jawnogrzesznica, kortezanka, która wśród wesołej uczty miała żartobliwie zawołać: „Gdyby się tu pokazał Jezus, dałabym mu ten puhar do wypicia“ — a kiedy w rzeczy samej nagle pojawił się Chrystus, ona upuściła puhar na ziemię, w obecności osłupiałych towarzyszek tej orgji. Już kompozycja ta objawiała niezwykły talent. nowy zaś utwór tego artysty pokazuje ogromny postęp, i stawia go w rzędzie najlepszych tegoczesnych malarzy. Na płótnie mającem 7 metrów długości, a 4 wysokości przedstawił p. Siemiradzki to przerażające widowisko, o jakiem pisał Tacyt. Widzimy tam imperatora Nerona siedzącego przy swojej Poppei w lektyce niesionej przez czarnych niewolników, i przypatrującego się z tarasu na ten nowy widok ludzi żywcem palonych, na podobieństwo pochodni. Mnóstwo mężczyzn i niewiast, młodych i starych, owiniętych powrósłami słomy i oblanych smołą jest tam przywiązanych do słupów, tuż stoją oprawcy trzymający w rękach pochodnie i oczekujący skinienia mistrza ceremonji, aby te stosy podpalić. Na dany znak oblicza wszystkich dostojników dworu zwracają się ku miejscu męczarni; niepodobna było lepiej oddać wyrazu zimnego okrucieństwa. Mianowicie postać Nerona napiętnowana szczytnem okrucieństwem; widzi się w nim despotę, któremu nikt i nic oprzeć się nie może. Na jego twarzy maluje się pogarda dla otaczającego świata i nie wyleczony smutek. Jakiż to przesyt na tych twarzach senatorów i patrycjuszów samolubów, obojętnych na wszystko co nie jest rozkoszą, i którzy pewnie nie poszliby gasić palącego się domu sąsiada Pewien Francuz przypatrując się temu obrazowi, powiedział z rzadką trafnością, że widzi wyższość tego dzieła nad sławnym obrazem swego ziomka Couture, znanym pod nazwą: *Les Romains de la Décadence*. Wielki bowiem malarz francuski jakkolwiek nadał obrazowi swemu starożytny tytuł, jednakowoż odmalował tylko Francuzów z czasów Ludwika Filipa, podobnie jak Rasyn do starożytnej tragedji wprowadził dworaków Ludwika XIV mających przedstawiać Greków i Rzymian. Niemniej i owa leżąca kobieta Coutura, w której widać takie zmęczenie, a która słusznie była i jest podziwianą, bynajmniej nie wygląda na Rzymiankę z czasu Cezarów, lecz na Francuskę z *demi-mondu* niby *la Dame aux Camelias*. W obrazie p. Siemiradzkiego widać nietylko przesyt znudzonego społeczeństwa, lecz i czzość moralną świata mającego się ku końcowi! Dodamy do powyższego zdania, że p. Siemiradzki posiada intuicyjnie, jak Szekspir, wielką znajomość starożytności rzymskiej. Tytuł dany tej kompozycji jest: *Świeczniki Nerona*, czyli: Męczarnie pierwszych Chrześcijan. Na krawędzi czytamy święte godło: *Et lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt*. Sposób malowania Siemiradzkiego szeroki, swobodny, przypominający sposób malowania Francuza Decamps. Ci którym są znane sławne obrazy Matejki, także Polaka, a którego utwory niedawno na wystawie paryskiej wyżej były cenionemi od innych przez światową publiczność stolicy Francji. utrzymują, że p. Siemiradzki pójdzie odtąd równym krokiem ze swoim współzawodnikiem. Liczne zdolności objawiające się w różnych wiekach w narodzie polskim, przeniosły się w dzisiejszem pokoleniu, pozbawionem możności odznaczenia się orężem i w polityce, na pole sztuki. Niechybnie też ujrzymy Polaków, którzy niegdyś napełniali świat męstwem swoich legjonów, teraz budzących podziw pod sztandarami sztuki.“

— Czytamy w „Wieku“ warszawskim: Z prawdziwą przyjemnością dzielimy się z czytelnikami wiadomościami otrzymanemi z Paryża o niezwykłem powodzeniu jakiego doznał w tych dniach bawiący tamże Józef Wieniawski. Dzienniki miejscowe, które zrazu dość chłodno przyjęły grę ziomka naszego, zawdzięczającemu przecież Paryżowi całe rozwinięcie swego talentu, pełne są pochwał z powodu wystąpienia jego na pięknym wieczorze muzycznym u Oskara Comettant, gdzie w dniu 10go bieżącego miesiąca cały świat artystyczny i literacki Paryża przez dwie pełne godziny „restait sous le charme,“ jak się wyrażają „Bien Public i Liberté,“ pod wpływem gry Wieniewskiego nacechowanej tego wieczora nadzwyczajną werwą i siłą. W pochwałach tych dla naszego wirtuoza najdalej idzie „Siécle“ z dnia 12 bieżącego miesiąca opisując fakt zarazem, który godzi się i w polskiem piśmie przytoczyć, tem bardziej, iż przechodzi on o wiele zwykłe granice, a i w samym Wieniawskim zadziwia.

Otóż, po wykonaniu ogromnego programu — powiada „Siécle“ — obejmującego cały szereg dzieł od Bacha, Haendla i Rameau aż do Schumanna i Brahmsa, Liszta i Chopina, poproszono Wieniawskiego. aby na ostatnią waletę zagrał jaką sonatę Beethovena.

— I owszem — odrzekł na to artysta, — proszę tylko powiedzieć, którą sobie życzycie usłyszeć?

— Umiałbyś je pan wszystkie na pamięć? — zapytano ze zdziwieniem.

— Bez wątpienia, i nic w tem nie ma dziwnego, wszak to wszystko są arcydzieła.

— A więc prosimy o *appassionatę*.

— Bardzo chętnie, a z którego tonu chcecie abym ją zagrał?

Tu już zdziwienie nastąpiło niedouwierzenia. Wieniawski powtórzył jednak zapytanie. Ktoś z obecnych wspomniał wówczas o Es (Dis) moll. Tonacja ta nadzwyczaj niewygodna, zwłaszcza dla dzieła tak trudnego jak wielka sonata F moll. Wieniawski zamyślił się przez chwilę, poczem siadł i wykonał całą sonatę. Trudno opisać wrzawę i oklaski jakiemi nagradzano artystę, dla którego wieczór ten był pożegnalnym wieczorem. Wieniawski obecnie jest w drodze do Wiednia.

— W Bayreuth rozpoczną się w sierpniu rb. przedstawienia oper Wagnerowskich, w teatrze na ten cel umyślnie zbudowanym. Pierwszą operą będzie „Der Ring der Nibelungen“.

Konkursy.

— Komitet pomnika Sew. Goszczyńskiego ogłasza konkurs na projekta tego pomnika, które mają być wykonane z gipsu lub terrakoty w formie modelów szkicowanych i przedstawiać postać śp. Goszczyńskiego siedzącą lub stojącą na odpowiednim piedestalu. Rozmiar modeli nie powinien przenosić 60 centymetrów. Termin do nadsyłania projektów upływa z dniem 1 sierpnia br. Wybrany przez komitet projekt nada autorowi jego prawo wykonania samego pomnika, kosztem co najwięcej 3000 guld. Ostateczne jednak warunki co do kosztów, jakoteż co do materjału pomnikowego, oznaczy komitet po wyborze projektu.

— Węgierska Akademja Umiejętności rozpisała konkurs na pracę historyczną z fandacji ks. Wład. Czartoryskiego, za którą to pracę wyznaczoną jest nagroda 1.500 zł. Temat owej pracy historycznej jest taki: „Opisać z użyciem także polskich źródeł historję punktów stycznych między narodami: polskim i węgierskim, pod względem politycznym i cywilizacyjnym“. Warunki konkursu nie kładą żadnych zastrzeżeń co do narodowości autora, termin zaś do składania prac konkursowych wyznaczony został do końca roku 1880.

Podróże i wykopaliska.

— Pułkownik Sosnowski, który w zeszłym roku odbył wyprawę do Chin w celach naukowych i handlowych, obecnie jak piszą „Petersburgskie Wiedomosti“ ogłosił drukiem w czasopiśmie wydawanem przez rossyjskie Towarzystwo geograficzne, bardzo ciekawe sprawozdanie ze swojej podróży. W sprawozdaniu tem zamieścił on wiele ciekawych wiadomości o rolnictwie w Chinach, o tamecznej produkcji przemysłowej, handlu itp. Wiadomości te, którym jako zebranym przez autora w opisywanym przezeń kraju niepodobna odmówić wiarygodności, pod wielu względami stoją w zupełnej sprzeczności z wielu rozpowszechnionemi w całej Europie o Chinach pojęciami. W ogóle z książki p. Sosnowskiego nabrać można przekonania, że naród chiński stoi na stopniu wysokiego rozwoju mianowicie co do praktycznych stron życia, że jest bardzo bogaty w produkcyjną pracę i daje takie oznaki sił intelektualnych, że te pozwalają mu iść o lepsze nawet z narodami mającemi uznaną cywilizację. „Czyż w obec takich warunków, konkluduje w końcu autor, można uważać Chiny za martwy organizm?“ Praca pana Sosnowskiego jest w ogóle ważnym przyczynkiem do prac geograficznych, a jako najświeższa co do daty podaje bardzo wiele wiadomości jakich nie znaleść w dawnych opisach podróży do Chin.

— O cztery mile od Laas, w Krainie, odkryto szczątki miasta Metulum, stolicy niegdyś mężnego illirskiego plemienia Japodów, krórą Oktawian Cezar po długim i dzielnym oporze zdobył w roku 32 przed narodzeniem Chrystusa. Odkopano część murów, pod któremi znaleziono liczne szczątki naczyń oryginalnego kształtu, będących wyraźnie wyrobami krajowców, nie rzymskiemi. Oprócz tego znaleziono i rzymskie sprzęty rozmaite, oraz cegły robione z gliny z przymieszką substancyj żelazistych. Wzmianki o mieście Metulum znajdujemy w Strabonie i Appianie.

— Według ostatnich pomiarów dokonanych przez angielskich podróżnych, jeziora Nyanza znajdujące się w środkowej Afryce, jest 141 mil angielskich długie a 60 szerokie.

— Jednym z bezpośrednich skutków dobroczynnych kanału Suezkiego są obecne częste deszcze na Istmusie. Przez 15 lat z rzędu pan Lesseps nigdy nie miał sposobności zaobserwować tego zjawiska, teraz zaś pada tam deszcz co 14 dni. Pojąć łatwo, jaki to wpływ wywiera na klimat. Deszcze sprzyjają niezmiernie wegetacji i ta rozszerza się tak szybko, że wnet całą ogarnie pustynię. Wiatry które wieją z Istmusu przez Czerwone morze, dawniej suche i palące, tak jak przychodziły z pustyni, były prawdziwą plagą podróżnych. Dziś, dzięki wyziewom i wegetacji złagodniały zupełnie.

Statystyka.

— W r. 1875 sprzedano a więc i wypalono w całej Austrji więcej jak miljard, bo 1.062.564.622 sztuk cygarów. Ponieważ centralna komisja statystyczna we Wiedniu liczbę męską mieszkańców Austrji z końcem r. 1875 podaje na 10.400.909 przeto wypada w ubiegłym roku na jedną głowę męską bez różnicy wieku 102 cygar, co w każdym razie jest znaczną ilością. Atoli pomimo tę wielką konsumcję, jest ona przecie w porównaniu do ubiegłych lat znacznie mniejszą, i to począwszy od r. 1873. Jeszcze w 1874 sprzedano o 30 kilka miljonów sztuk więcej niżeli w następnym. Za to podniosła się silnie konsumcja tytoniu, czego oczywistą przyczyną okoliczność, iż większość zarzuciła kosztowne cygara liściowe, a pali obecnie tańsze bez porównania papierosy. Co dotyczy dochodu z tej gałęzi, minister finansów uskarżać się nie może, gdyż ubytek za cygara pokryty został sowitą nadwyżką za tytoń. W r. 1874 dochód z monopolu tytoniowego wynosił 57.232.038 fl. a w r. 1875 podniósł się na 57.376.304 fl. więc o 144.266 fl. więcej

— Na początku r. 1876, wychodziło w Anglji 1642 czasopism, z tych zaś 136 czasop. codziennych. W r. 1846 było tylko 551, z tego zaś 14 codziennych. Ogólna liczba pism wszelkiego rodzaju zajmuje 557 wydawnictw. Kapitał w nie włożony podają na 15 miljonów funtów, cyfrę zaś ludzi z tego tytułu zatrudnionych, począwszy od wydawcy aż do kolportera, obliczają na 2000.000 osób!

Sport.

— Paryskie wyścigi konne odbyły się ostatniej niedzieli przy najpiękniejszej pogodzie i ogromnym udziale publiczności na błoniu Longchamps. W biegu o nagrodę główną w sumie 100.000 franków zwyciężył koń węgierski ze stadniny p. Baltazzi „Kisber“, zwycięzca w niedawno odbytych w Anglji wielkich wyścigach Derby. W obu tych wyścigach, „Kisber“ przyniósł swemu właścicielowi, wliczając premje wkładki i zakłady, około 900.000 guldenów.

ROZMAITOŚCI.

— Pilne przechowywanie i wysokie szanowanie drogich pamiątek bądź to po miłych sercu naszemu osobach zmarłych, bądź po minionej przeszłości, jest bezsprzecznie rzeczą zupełnie naturalną a zarazem właściwą zwykle ludziom o sercu i duszy szlachetnej. Taki pietyzm dla tradycji, nie tylko wyznawać ale i wedle możności szerzyć należy, gdyż jest on dość znacznym czynnikiem dla spokojnego przebiegu, socjalnego i politycznego w każdem społeczeństwie rozwoju. Atoli jak każda choć najpoważniejsza rzecz, gdy ekstrawaguje, wręcz przeciwne osiąga skutki, tak i podobny pietyzm przesadzony, łatwo zamienić się może na śmieszną a nawet karygodną jakąś relikwiomanję. Nasze czasy, choć niby to nawskróś materjalistycznemi zwane, wcale nie są wrogie dla relikwij. Przeciwnie, wszędzie wznoszą gmachy, tytułowane muzeami, gdzie składają stosy zabytków z przeszłości. A ileż to znowu po domach prywatnych, niemal w każdej rodzinie znajduje się tak „cennych“ dla właściciela relikwij, z bogobojnym szacunkiem ciekawemu gościowi okazywanych, który — dodawszy nawiasem — przy tych oględzinach dobrze zapanować nad sobą musi, by nie parsknąć szyderczym śmiechem w oczy uprzejmemu a tak naiwnemu gospodarzowi. My zatem, podobnie jak praojcowie nasi, także wielką przywiązujemy wagę do tego rodzaju okazów, z tą jeno zasadniczą różnicą, że podczas gdy nam idzie najwięcej o cenne ale zawsze ziemskiej wartości zabytki, tamci całą swoją uwagę zwracali na przedmioty połączone ściśle wspomnieniem z wiarą i religją. Najżywszem pragnieniem każdego np. współcześnika wypraw Krzyżowych, było, by mógł dostać jakąś relikwję ze Świętej ziemi. Trafiało się tedy często, iż taki rycerz figlarz najosobliwsze przywoził rzeczy, wrzekomo pochodzące z świętej tej krainy i posiadające w pełni nadawane mu przezeń znaczenie, aby potem w duchu bawić się doskonale z uwiedzionych bliźnich. Jeden z tych ichmościów np. przyniósł do domu kawałek „zaćmienia słońca“ z czasów Mojżesza, drugi znowu znalezioną drzazgę z drabiny, sięgającej do niebios, którą widzieć miał Jakób we śnie. Inny pysznił się, iż posiada pióro, które podczas walki z szatanem wypadło było Michałowi Archaniołowi ze skrzydła! Péwna zaś ksieni zakonu była nad miarę szczęśliwą, gdy na wagę złota odkupiła kamień, który był niczem innem, jeno przez ciąg wieków skamieniałą cząstką z osła, na którym Chrystus wjeżdżał do Jerozolimy! W Jeruzalem pokazywano między innemi kamienie, które byłyby niechybnie krzyczały, gdyby apostołowie przestali byli głosić rzeszom nowy Zakon. Wszystko to jednak są rzeczy dziś ogólnie znane; mniej zapewne wiadomym jest fakt, iż w pobliżu Mekki pokazują w pewnej moszei pośladek z jagnięcia, które stosownie do wiary Mahometan, przemówić miało temi słowy do proroka: „Nie pożywaj mnie, gdyż jestem zatrute, więc zginiesz niechybnie.“ Tymczasem wybraniec Ałłacha miał niezważać na tę przestrogę, i choć zjadł pieczeń z owego gadającego jagnięcia, żył dalej w zdrowiu trwałem. Zajrzyjmy na chwilę do starożytnych ludów. Grecy są jak wiadomo uważani za naród starożytności najbardziej oświecony i wszechstronny. Filozofja i sztuka tkwiły głęboko i prosperowały bujnie w ich życiu i umyśle, tak że wiara ich była bardzo małą a przeciwnie sceptyzm stał się bezdennym. A mimo to, w żadnym kraju nie znajdziemy tyle, osobliwych notabene, relikwij, ile w starej Grecji. Dość przeczytać, co opowiada geograf Pauzaniasz. W Delfi np. pokazywano kamień, połknięty przez Kronosa, ojca Zeusa. W Trous oglądać było można łańcuchy, któremi rodzic Bogów Zeus, okrępował nogi swej porywczej małżonce Junonie, ażeby nie zstępowała z Olimpu, i nie mięszała się niepotrzebnie pomiędzy walczących pod Troją. W Megalopolis przechowywano z czcią kości olbrzyma z czasów Kronosa, o których bardzo śmiało twierdzićby można, iż raczej były stosem kręgowym ze słonia. W Panopeus znowu miano grudkę gliny pochodzącą z tej samej, z której Promoteusz poulepiał ludzi! Jeśliby kto kwestjonował wartość wykopalisk trojańskich głośnego Schliemana, z tej jedynie racji, że i cała wojna trojańska jest wymysłem poety a nie faktem historycznym, to niech zważy, że w Aulis długie czasy pokazywano drzewo pod którem stał ołtarz ofiarny Ifigenji podczas wymarszu wojska greckiego; co więcej, nawet nóż, którym Ifigenja na ofiarę zabitą być miała. W Troi znajdowała się lira pięknego Parysa, na której grał właśnie wówczas, gdy go trzy boginie napastowały o nieszczęsny wyrok, która z nich najpiękniejszą. W pewnem mieście, podobno w Choronei, było berło, otaczane niezmierną czcią, a przypisywane królowi Agamemnonowi. Na wyspie Salamis oglądać można było kamień, na którym siedział Telamon, gdy wyglądał niecierpliwie zbyt długo nie przybywającego Ajaksa. Że podobne relikwje przenoszono w najodleglejsze strony, dowodzi najlepiej okoliczność, że w Benewencie pokazywano kły kaledońskiego odyńca, którego pokonał był Herkules. Pałkę tego bohatyra miano zasadzić w ziemię i po niejakim czasie urosła w olbrzymie drzewo oliwne, z którego potem często uplatano wieńce dla powracających ze zwycięztwem wojowników wielkich! A ten kamień cudowny w Megarze, na którym gdy Apollo raz swą lirę położył, potem na długie wieki z tego zetknięcia się z boskim instrumentem zachował jego tony dźwięczne! A owe słupy Memnońskie które zwykły były śpiewać codzień o wschodzie słońca — czy to relikwje o mniejszej dla starożytnych wartości, jak cząstki z szat lub krzyża i tym podobne przedmioty święte, tak drogie dla współczesnych nam miljonów?

— Sławnym mulem książkowym był w 17 wieku niejaki Antonio Magliabecchi, bibljotekarz wielkiego księcia Toskany, urodzony w r. 1636 we Florencji. Choć nie wydalił się był w życiu ani na chwilę po za bramy rodzinnego miasta, umiał jednak na pamięć katalogi wszystkich największych bibljotek europejskich i znał je na wylot jak własną. Niekoniecznie zasługujący na nazwę uczonego, i wcale nie wybitny między współczesnymi, krom tą swoją dokładną znajomością tytułów książek, mimo to, w dowód uznania jego zasług bibljograficznych obsypywali go zewsząd odznakami książęta panujący i uczeni ówcześni. W życiu codziennem był ten człowiek niezmiernym oryginałem, jak to zresztą łatwo zrozumiałe bo prawie zwykłe u bibljomanów. Jeden z współczesnych mu turystów, który odwidził Magliabecchi'ego krótko przed jego śmiercią w r. 1714, tak go opisuje w swym pamiętniku: „We Florencji miałem list polecający do Magliabecchi'ego, który mnie i towarzyszy moich przyjął nader uprzejmie. Całe trzy dni biegał z nami po mieście, i pokazywał nam wszystkie memorabilje, szczególnie zaś oprowadzał po bibljotece książęcej. W końcu uczęstował nas widokiem własnej bibljoteki. Ta wyglądała tak szczególnie, a mianowicie panował tam taki chaos i nieporządek, jakiego nigdy nie widziałem w życiu i pewnie widzieć nie będę. Człowiek ten żyje samotnie, nie ma żony ni służącego, a jedzenie bierze gotowe od sąsiadów. W domu jego nic nie widać, jeno literalnie same książki. Gdy się wejdzie do przedsionka mieszkania, po obu stronach pod powałę napiętrzone stoją z nich stosy, i tylko środkiem wiedzie wąska drożyna. Jota w jotę wyglądają wszystkie inne apartamenta jego mieszkania. Co więcej nawet, wschody założone książkami, że często stąpać po nich trzeba. Stajnia także tem samem przepełniona. W dziedzińcu stoi studnia, a na szerokiej poręczy kamiennej leżą, jedna koło drugiej, znowu książki. Zastanawiająca rzecz, że mimo taką obfitość niepoliczoną, na żądanie on każdą natychmiast odnajdzie i poda. Wielki książę lubi go bardzo, i dałby mu tyle pieniędzy, ileby tylko ich zażądał. On jednak nie ceni złota, chyba gdy potrzebuje go na zukupno nowych foljatów. Jednym jego zbytkiem jest tabaka, której też zażywa namiętnie. Dowiedziawszy się o tem, przychodziliśmy zawsze z pełnemi tabakierami, co go wprawiało w humor wyśmienity. Je bardzo mało, a spi zaledwie trzy do czterech godzin, i to nie w łóżku, lecz pomiędzy ukochanemi książkami, na które obraca wszystkie swoje dochody i podarki.“ Charakterystycznem to wielce dla pedanterji uczonych owego wieku, gdy zważymy, że ten człowiek, którego jedyną zasługą było bezpłodne oczytanie się i obciążenie pamięci 100.000mi tytułów najrozmaitszych dzieł, iż ten człowiek — powtarzamy — stał u nich w tak wysokiem poważaniu. Na cześć jego wybito nawet medale pamiątkowe, a więcej jak 100 dzieł były mu przypisane.

— Zanim amerykańskie kolonje wywalczyły sobie niepodległość z pod ciężkiego zwierzchnictwa kraju ojczystego, rząd angielski wywoził rok rocznie do Ameryki północnej całe okręty, zapełnione zbrodniarzami, których miejscowe więzienia pomieścić nie mogły. Nadarmo protestowali osadnicy przeciw temu wygodnemu dla Anglji sposobowi pozbywania łotrów z kraju. Słuszne żądania nie były jednak w Londynie uwzględniane, a liczne transporty zbrodniarzy szły ciągle dawnym trybem. Pewnego dnia otrzymał minister Walpole skrzynię z Bostonu, w której znajdowały się żywe grzechotniki. Gady te, są jak wiadomo, bardzo wytrzymałe, i podróż morską przebyły zdrowe. Posyłce towarzyszył bardzo grzeczny list bezimienny, upraszający ekscelencję, by podarunek ten przyjęła łaskawie, jako rewanż za nasyłanych Ameryce zbrodniarzy. Niechaj pan minister rozkaże umieścić te poczciwe gady, które są zupełnie tem dla Anglji, czem zbrodniarze angielscy dla Ameryki — w królewskim ogrodzie, by rozmnożywszy się dostatecznie, stały się Anglikom tak pożytecznemi i cennemi, jak dla Ameryki są ci tłumnie z Albionu deportowani panicze! Zmyślnym autorem tego listu i przesyłki miał być nieznany zrazu młodu drukarz, lecz potem tak głośny i sławny Benjamin Franklin. Po uzyskaniu swobody, kolonje zostały tem samem uwolnione od narzucanych im przymusem osadników. Australja, której brzegi właśnie przedtem zbadał był kapitan Cook, zastąpiła Anglji odtąd Amerykę w tej mierze.

— Z Baltimore donoszą, że w pierwszych dniach bieżącego miesiąca, towarzystwo złożone z samych Amerykanów, urządziło sobie wycieczkę z Nowego Yorku do San Francisco, która trwała tylko 84 godzin. Jak szaloną była wycieczka, łatwo sobie czytelnik wyobrazi gdy powiemy, że koleje amerykańskie, jakkolwiek bardzo pospieszne, potrzebują 8 dni na tę podróż; to też ekscentryczni Amerykanie robili po 75 mil angielskich w 80 minutach, tj. prawie 15 mil naszych na godzinę. Podróż ta była tak głośną w całej Ameryce, że na wszystkich prawie stacjach, które pociąg mijał, zbierały się tłumy publiczności, muzyki grały, oklaski jak grad się sypały, a dziennik „The Sun“ wychodzący w Baltimore, wysłał osobny pociąg ze swymi sprawozdawcami, aby obserwowali zuchwałych Amerykanów. W San Francisco ogromne tłumy przywitały podróżników, hotel zaś w którym stanęli został przez mieszkańców świątecznie udekorowany. Z osób które w tej wycieczce wzięły udział, żadna nie uskarżała się choćby na ból głowy.

— Syn Ludwika XIV zachorował raz niebezpiecznie, ale dzięki gorliwym zabiegom lekarzy, przyszedł nareszcie do zdrowia. Praczki paryskie, które już wtedy tworzyły osobną korporację, postanowiły wysłać do króla deputację z gratulacjami. Jedna z nich przemówiła w te słowa: „Dziękujemy Bogu, że następcę tronu przy życiu zachował, bo gdyby był umarł, byłybyśmy wszystko utraciły.“ Ludwik, który jak wiadomo był bardzo zazdrosnym o swoją władzę, słyszawszy te słowa zmarszczył czoło, co widząc druga z kobiet prędko dodała: „Tak jest, byłybyśmy wszystko utraciły, bo nasz dobry król nie potrafiłby był przeżyć swego syna i z pewnością byłby umarł z żalu.“ Król uśmiechnął się z zadowoleniem i łaskawie pożegnał deputację. Niech kto teraz powie, że kobiety nie są zręcznemi dyplomatkami i nie mają przytomności umysłu.

Od Redakcji.

Ponieważ numer dzisiejszy jest ostatnim w bieżącym kwartale, przypominamy przeto Szanownym przedpłacicielom, że najwyższy teraz czas odnowić przedpłatę. W kwartale następnym po rozpoczęciu IV tomu, będziemy dołączali bezpłatnie ilustracje.

Treść Nr. 26.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).